Miesięcznie 95 groszy
Prenumeratę przyjmuje każda poczta!

egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 24 lutego 1935 r. Nr. 8.



ROZMOWA

Tak lubię gwarzyć z Tobą z portretu dziewczyno,
Patrzeć na Twoją piękność, wdzięk i wyraz słodki,
By potem w mym pokoju wieczorną godziną
Marzyć.. i lękać się własnej tęsknoty.

Piękna jesteś, i dumna i jak posąg zimna,
Patrzysz na mnie tak trochę drwiąca i zdziwiona,
Nie wiesz bowiem, z kim mówisz .. cóż ja jestem winna,
Że ja jestem Ci nieznaną... lecz to mała szkoda!

O czem myślisz? O wiośnie, nocy, czy księżycu,
O łące pełnej kwiecia, i barwnych motyli,
Czy może o Nim, tym strojnym paniczu,
Co z jasnego pałacu do Twych stóp się schyli?

Ty wcale bowiem nie wiesz, jak inne są czasy,
Co to jest trening, dancing, jacht, narty, Sowiety...
Tak, Prababciu! zniknęły poszóstne kolasy
Z niemi bale, wachlarze, strojne epolety.

Dziś wszystko jest inaczej, zejdź tylko tu do mnie,
Ja cię pokażę życie, Ty go nie znasz przecie,
Nie chcesz, lękasz się, zbyt to jest mozolne?...
Więc zostań... Ty rozkoszne, rozpieszczone dziecię.

MARJA NATURSKA.

MARJA REUTT

Co silniejsze?

Czyli „Miłość, czy obowiązek"

1.

Zapadał zmrok nad cienistym ogrodem, letni, lipcowy zmrok o tonach liljowych na zachodniej stronie nieba i kładł smugi ciemno-szare na kamienną werandę podmiejskiej willi-pałacyku, na której wygodnie wtulona w trzcinowy fotel siedziała kobieta lat czterdziestu pięciu.

Musiała być kiedyś śliczną. Mówiły o tem jej rysy kameli, oczy duże, czarne i cera biała, mówiły ręce drobne, arystokratyczne, smukła linja nogi i bioder.

Ubrana była biało. Suknia, którą nosiła, pozbawiona wszelkich ozdób, gładka lecz dobrze skrojona świadczyła o subtelnym smaku siedzącej.

Kobieta miała usta zaciśnięte; oczy jej mroczne i chłodne patrzyły przed siebie w chmurnej zadumie, ręce machinalnie mięły długą urzędową kopertę.

Otrzymana wiadomość zaskoczyła ją, wywołała wspomnienia odległe, cofnęła w jej pamięci czas o lat piętnaście, rozkrwawiła zadawnioną, zawsze dolegającą jej trochę ranę serca.

Piętnaście lat! Duży szmat czasu, całe morze męki, zawodu i żalu.

List ten przysłał jej mąż z biura przez woźnego. Pochodził on od sekretarza sądu grodzkiego, który donosił, że „pan Henryk Dworanowicz-Wysocki wezwany jest do zajęcia się losem ośmioletniej Heleny Polchowskiej, sieroty po siostrze jego Janinie z Borysewiczów Polchowskiej, umieszczonej chwilowo w przytułku miejskim".

— Janina umarła! Złotowłosa, niebieskooka, żywa jak skra, wesoła i ruchliwa jak wróbel i równie lekkomyślna jak one.

Piętnaście lat temu! Jak i obecnie był to lipiec, kwitły piwonje, gladjolusy, róże, dalje i kosaćcie, gdy listonosz zadzwonił do furtki ogrodowej i oddał list.

— Kochani moi. Dziś odbył się mój ślub z Leonem... Kocham go więcej niż was, niż bogactwo i stanowisko. Daliście mi do wyboru: — Wy... lub on... wybrałam jego. — To było wszystko, ten krzyk egoizmu miłości ośmnastoletniej, zakochanej bez pamięci dziewczyny.

A oznaczał dla niej, Janiny, tak dużo, tak bardzo dużo. Lata niedoli, ubóstwa upokorzenia, zawiedzionych nadziei i łez wypłakanych w cichości.

Nie odezwała się więcej do niej, nie przyszła prosić o pomoc, gdy ten ukochany nad wszystko i wszystkich człowiek porzucił ją dla prostytutki. i umarł gdzieś w zapadłym miasteczku kresowem, rozpity, zniszczony alkoholem i rozpustą.

Pamięta i ten dzień i wrażenie jakie wiadomość ta zrobiła na jej mężu. Jakby to było przed chwilą, oczami duszy widzi w pamięci wyniosłą postać, gnącą się pod ciężarem ciosów, jego oczy niebieskie przybierające odcień stali, jego pobladłą twarz i zacięte boleśnie usta.

— Ha — wybrała jego, tego zarozumiałego głupca i lenia, przeniosła go nad nas, odrzuciła precz nasze uczucia dla niej — to już jej rzecz. Musimy się z tem pogodzić i wykreślić ją z naszych serc i życia — przemówił wreszcie, wzruszając ramionami. W głosie jego nie drgnęła żadna nuta wzruszenia, brzmiał on swobodnie, naturalnie, a przecież wiedziała dobrze jak on kochał tę swoją siostrę przyrodnią, młodszą od niego o lat dwadzieścia, jaki był z niej dumny, o jakiem małżeństwie roił dla niej.

Przeznaczył dla niej swego szwagra, a jej brata Henryka, obiecując duży posag odrazu i coś tam jeszcze po śmierci. Matka opuściła go, gdy miał lat osiemnaście, wychodząc zamąż za inżyniera, pracującego w ich fabryce. Był wówczas na uniwersytecie w Krakowie.

Nie miał jej tego za złe; była jeszcze młoda, tęskniła za miłością. Bez niechęci powitał małą siostrzyczkę, z chęcią zgodził się trzymać ją do chrztu, obsypywał podarunkami i pieszczotami, przywiązał się do niej z czasem jak do rodzonej córki. Po objęciu fabryki rozwinął ją, rozszerzył i w kilka lat podwoił jej wartość, stał się bogaczem, potentatem finansowym.

Gdy żenił się, był już wtedy bogatym człowiekiem, kochającym synem i bratem. Ojczym umarł; umarła wkrótce i jego matka na kamienie nerkowe, a Janka zamieszkała z nimi pieszczona, samowolna, impulsywna, psuta do niemożliwości przez brata, który uważał ją za najmilsze i najlepsze dziewczę pod słońcem.

Marzył, by wyszła za jej brata Józefa. Chciał spłacić jego długi, przerobić walący się dwór, kupić im auto na prezent ślubny i ofiarować czek na sumę wystarczającą dla odbycia przyjemnej podróży.

Józefowi podobała się Janka; porywała go swą żywnością, radością życia i bujnością swej natury.

Zmęczony był opędzaniem się wierzycielom, wiecznemi bezowocnemi układami z nimi, uśmiechała mu się myśl życia bez troski z ładną i ponętną dziewczyną.

I byłyby się ziściły plany Henryka, gdyby nie Jerzy... Zjawił się niespodziewanie jako korepetytor dzieci dyrektora fabryki, przystojny, zepsuty powodzeniem u kobiet student 1-go kursu prawa, wytrawny uwodziciel pomimo młodego wieku, leniwy, wyrachowany, i rozpustny tą wstrętną rozpustą drugorzędnych spelunek i melin. Janina zakochała się w nim bez pamięci.

Zaskoczona oporem brata, zacięła się w uporze i namówiona przez Jerzego, korzystając z nieobecności braterstwa, bawiących zagranicą, wzięła ślub z ukochanym, a gdy oni wrócili z podróży w dwa dni potem przyszedł od niej ten list złowieszczy, który zniszczył nietylko jej młode życie, ale i szczęście ich obojga.

Długo wtedy w nocy słyszała kroki męża, miarowe, ciężkie, odsuwanie szuflad, szelest papierów i znów kroki, przemierzające gabinet...

—o—

Zmięła nerwowo kopertę jakby pod wrażeniem skurczu bolesnego i upuściła ją na ziemię.

Zaskrzypiał żwir pod spiesznemi pewnemi krokami i na werandę wszedł pan Henryk Dworanimowicz-Wysocki, właściciel dwóch fabryk i paru towarzystw przemysłowych w Warszawie.

Mógł mieć lat pięćdziesiąt trzy, może więcej, ale był jeszcze, co się zowie, dorodnym mężczyzną pomimo siwizny i zmęczonych oczu.

Spojrzała na niego i przypomniała sobie z bolesnym skurczem serca, że idąc za niego omdlewała z radości, że ją wybrał, że będzie jego żoną.

Uboga hrabianka, córka zbankrutowanego magnata, którego połowę folwarku odkupił Henryk pod teren fabryczny, zakochała się w młodym przemysłowcu.

Zbyt była dumną, żeby mu okazać swe uczucia, płakała po nocach, pościła, odmawiała nowenny i wypraszała sobie u św. Antoniego wzajemność i czuła się tak szczęśliwą pomimo uszczypliwych dowcipów kuzynek, dotyczących pochodzenia narzeczonego.

Ten list fatalny z przed 15 laty zniszczył jej to szczęście, zdmuchnął miłość do męża, zamienił ją w urazę i wieczny żal.

— No i co ty na ten list — zapytał żonę bez żadnych wstępów, wskazując na leżącą u jej nóg kopertę.

— Musimy się nią zająć — odpowiedziała nie patrząc na niego.

— Zająć?! Ani myślę. Jej matka wyraźniej zaznaczyła nam, że nie chce z nami mieć nic do czynienia i od tego czasu przestała dla mnie istnieć.

— Możesz jej nie widywać, ale musisz dla niej coś zrobić, choćby przez pamięć na twoją matkę. Jej to krew, a więc i twoja.

Przeszedł się parę razy po werandzie, trąc nerwowo brodę!

— Przeznaczę miesięczną pensję na jej utrzymanie i niech z dziewczyną robią co chcą — mruknął nieprzejednany. — Nie wolno jej wiedzieć, gdzie mieszkam i jak się nazywam...

Nie sprzeciwiała mu się ani protestowała, ale w sekrecie przed mężem napisała do przełożonej przytułku, polecając jej opiece Helenkę i prosząc, by ją umieszczono na pensji hr. Plater.

— Niech jej na niczem nie zbywa — pisała — jeżeli nie wystarczałyby na jej staranne wychowanie pieniądze, przeznaczone przez mego męża, niedobór pokryję z własnej kieszeni, gdyż chodzi mi o to, by wychowywała się w warunkach odpowiednich jej urodzeniu i by otrzymywała też i odpowiednie staranne wykształcenie. Ma pobierać poza nauką szkolną lekcje muzyki, śpiewu, języków, tańców i gimnastyki plastycznej. —

W taki to sposób została rozstrzygnięta kwestja wychowania biednej sierotki, którą zły los i egoizm ludzki zesłał na ten świat i rzucił na poniewierkę.

* *

Państwo Henrykostwo Dworanowicz-Wysoccy mieli jednego syna, czternastoletniego Marka Emanuela, zwanego przez rodziców i krewnych Nelem.

Kształcili go w Chyrowie w zakładzie O.O. Jezuitów. Chłopiec z urody nie przypominał ni ojca ni matki. Blon-

dyn, średniego wzrostu o śmiejących się łobuzersko oczach, hardy, gwałtowny, ambitny, nie okazywał ani zbytniej bojaźni wobec ojca ani wielkiego przywiązania do matki, biorąc od życia wszystko przyjemne, co mu ono niosło, nie czując wdzięczności do losu ani zbytniego zdziwienia, że i bogactwo i radości są jego udziałem. Urodził się w dziesięć lat po ślubie, a osiem po ucieczce z ich domu Janiny i jej niefortunnego małżeństwa.

Urodził się w grudniową noc bezśnieżną, ciemną, ponurą, gdy wiatr wył żałośnie w kominach, szarpiąc odrzwiami i okienicami, skrzypiąc nagiemi, bezlistnemi konarami drzew, sztywnemi od mrozu.

W pokoju palił się ogień na kominku, lampa w mlecznym kloszu rzucała jasne łagodne światło na drogie meble, miękki puszysty kobierzec, odbijała srebrne przybory tualetowe i kosztowne przybranie łóżeczka z batystu, wstążek i koronek, w którym spowite w śnieżną biel poduszki spało niemowlę. Choć za oknami wyła zawierucha, zawodził żałośnie i żałobnie wicher, w sypialni było jasno, wesoło, przytulnie, w oczach leżącej kobiety migotał blask szczęścia, a blade koralowe usta uśmiechały się radośnie do główki śpiącego niemowlęcia.

Syn! tak długo oczekiwany, wymodlony, wyproszony. Nic więc dziwnego, że uśmiechała się do niego uśmiechem tkliwym młodej matki, legalnej żony, dla której macierzyństwo nietylko jest przeznaczeniem kobiety, ale i jej chlubą.

Rósł zdrowo, rozwijał się normalnie pieszczony przez matkę i psuty przez ojca, nie mając pojęcia, że gdzieś w Polsce żyje w ostatniej nędzy i poniewierce jego najbliższa krewna, dziewczynka jasnowłosa, której całą winą było, że urodziła się córką swego ojca i za tę winę niepopełnioną płaciła losowi chłodem i głodem.

* * *

Pan Henryk Dworanowicz zajechał samochodem przed dom. Samochody wówczas wchodziły dopiero w użycie i pozwolić sobie mogli na ten kosztowny zbytek jedynie ludzie bardzo bogaci lub utracjusze.

Pan Dworanowicz był na tyle już majętny, że bez uszczerbku dla dochodów i wpływów kupił eleganckiego popielatego Daimlera i z przyjemnością zasiadał sam przy kierownicy.

Wysiadł energicznie z auta, sprężystym pewnym krokiem przebył stopnie tarasu i bez pukania wszedł do saloniku żony.

Pisała listy przy biureczku. Obok niej na poduszce spał ulubiony szpic Malwa.

Na skrzyp drzwi odwróciła głowę i zdumienie zamigotało w jej oczach. Nigdy bez ważnego powodu nie przychodził do domu w godzinach biurowych.

— Wiesz, kupiłem Zadory, majątek hrabiego Pilawy, — mówił już od drzwi, podchodząc do żony. — Śliczna rezydencja, park, ogród, jezioro, gorzelnia, browar, tartak, lasy ogromne. Pojedziemy tam jutro. Chcę byś zobaczyła i zadecydowała, jakie zmiany chciałabyś zaprowadzić w pałacu, gdyż jest zniszczony i trzeba go będzie odrestaurować, przemeblować, odświeżyć.



Lotniczka francuska M. Charnaux zdobyła nowy rekord w locie, osięgając wysokość 6.150 metrów. Na zdjęciu lotniczka na wypoczynku w towarzystwie swego ulubionego psa.

Twarz jej pojaśniała radością. Znała tę rezydencję z czasów dziecinnych. Bywała tam z rodzicami nieraz za życia starych hrabiostwa.

Po ich śmierci majątek objął w posiadanie ich siostrzeniec, który w ciągu trzech lat zadłużył Zadory powyżej ich wartości, wreszcie wyjechał zagranicę i słuch o nim zaginął.

— Kupiłem go na imię Nela..... —

Pobladła i zagryzła wargi.

Zawsze ten sam, mściwy, pamiętliwy, nieustępliwy i dumny jak sam szatan.

Byleby tylko nie dostało się nic tamtej, złotowłosej sierotce, byleby zabezpieczyć się przed możliwością z jej strony podzielenia majątku między syna, a córkę Janiny.

* * *

Minęło od tego czasu lat sześć.

Helenka Polchowska cały ten czas przebywała na pensji hr. Plater, spędzając nawet tam wakacje. Cicha, spokojna, pilna, uczyła się dobrze, zachowywała wzorowo, to też lubiana była przez nauczycielki i koleżanki. Nikt jej nie odwiedzał, nie dowiadywał się o nią, nie pisywał. Na wakacje wyjeżdżała do Chyliczek, do zakładu gospodarstwa domowego, gdzie na świeżem powietrzu wsi wracały rumieńce na jej wymizerowaną i pobladłą od ślęczenia nad nauką twarzyczkę, wracał uśmiech na kształtne usta i wesołe błyski do szmaragdowych źrenic.

* * *

W ciepłe, pachnące wiosennym aromatem majowe popołudnie 1914 roku w klasie piątej pensji hr. Plater cztery uczenice-pensjonarki siedziały w ławkach, schylone nad zeszytami.

Cztery ich było a każda inna.

Czarnooka, śniada z noskiem zadartym i wijącemi się w pukle włosami Zośka Dubieniecka gryzła nerwowo koniec obsadki i marszczyła zabawnie „pyrkaty“ nosek. Blada, ciemnowłosa Emilka Fastówiczowna o oczach niebieskich jak błękit nieba, tajemniczych jak wody jeziora Świteź, skąd wywodziła się rodem, błądziła po podwórku tajemniczem, zadumanem spojrzeniem; trzecia z rzędu Romana Olesińska o buzi okrągłej, dziecinnej, z dołkami rysującemi się wdzięcznie na różowych policzkach przy najlżejszem poruszeniu ust, o oczach figlarnych koloru piwa ziewała bezceremonjalnie, przewracając niedbale kartki książki.

Jedynie Helenka uczyła się pilnie, przymykając od czasu do czasu swe zielone oczy i poruszając szybko i bezdźwięcznie ustami.

Romana, zwana Romką lub Romą, zamknęła energicznie książkę, ziewnęła głośno, przeciągnęła się i wstała z krzesła.

— Dosyć tej nauki — oznajmiła buntowniczo. Swawolnym ruchem zamknęła Helence książkę.

Ale ta otworzyła ją znów i zagłębiła się w zawiłych tajnikach politycznych „Epoki trzeciej“.

Roma wydęła pogardliwie usta: — Ucz się, ucz... bo w tem twoja przyszłość, twój chleb — rzuciła pogardliwie, naśladując do złudzenia głos panny Zofji, czem ośmieszyła do łez Zosię i Emilkę. Helenka nie obraziła się za ten żart. Machnęła pobłażliwie ręką w ich stronę, nie podnosząc głowy z nad książki.

— Masz rację. Łatwo wam żartować, gdy każda z was wróci do kochających rodziców, do zamożnych domów, a ja nie mam nikogo... łzy zadźwięczały w głosie dziewczynki.

— Przecież masz wuja... — zawołały chórem.

Wzruszyła ramionami.

— Mam wuja, ale on się mną nie interesuje. Nawet nie wiem jak się nazywa, gdzie mieszka, czem się zajmuje.

— Ooo! zdziwiły się dziewczęta.

— A tak! — potwierdziła Helenka. — Pytałam się parę razy panny Zofji o niego. Odpowiedziała mi, że wuj nie życzy sobie, bym wiedziała o nim bliższe szczegóły. Zobowiązał się łożyć na mnie do lat ośmnastu, a potem mam sama już o sobie myśleć. Jakże mogę opuszczać się w nauce?

Roma zamyśliła się.

— A może ten twój tajemniczy wuj jest rakarzem lub katem i dlatego nie chce byś go poznała? —

— Może... potaknęła Helenka potulnie.

Roma wzdrygnęła się. — Brrr... nie chciałabym mieć wuja rakarza albo kata! — Zrobiło jej się zimno na to przypuszczenie. Spojrzała na Helenkę z wyniosłem lekceważeniem córki starego obywatelskiego rodu. Miała zamiar prosić matki, gdy przyjedzie po nią, żeby jej pozwoliła zabrać Helenkę ze sobą na wakacje na wieś, ale obecnie zaniechała tej myśli. Chociaż lubiła Helenkę, jednak odkrycie, że tajemniczy wuj mógł być rakarzem lub czemś w tym rodzaju, odstręczyło ją od koleżanki. — Helenka nie winna temu, to prawda, no, ale ona, Roma, musi się trzymać swej sfery i swego towarzystwa...

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

EMIL GABORIAN

Ajent policyjny

CZĘŚĆ PIERWSZA

Śledztwo.

I.

Dnia 20 lutego 18... roku, w samą niedzielę zapustną, rond policyjny wychodził około godziny jedenastej w nocy z komisarjatu, mającego swą siedzibę przy dawnej rogatce Włoskiej, w Paryżu.

Zadaniem oddziału było zbadanie, czy i o ile znajduje się wszystko w należytym porządku w rozległej dzielnicy miasta, położonej pomiędzy drogą do Fontainebleau, a pobrzeżem Sekwany, oraz pomiędzy bulwarami, a fortami miasto okrążającymi.

Pustynne te w owych czasach przestrzenie cieszyły się bowiem bardzo złą sławą. Okolice te nocą były uważane do tego stopnia niebezpieczne, iż nawet żołnierzom, którzy dostali pozwolenie na spędzenie wieczoru w teatrze lub na koncercie, było nakazane wracać do fortu nie inaczej, jak w grupach po trzech, lub czterech conajmniej.

Był to punkt zborny najgorszych szumowin miasta, podmiejskich bandytów i dezerterów.

Gdy dzień dla tych wyrzutków społeczeństwa był udany, urządzali sobie oni tam właśnie uczty, podlewane obficie okowitą, rumem, absyntem, szampanem nawet czasami, zależnie od tego, co się zrabować udało.

Orgje te odbywały się w opuszczonych domostwach lub ruinach fabryk, które dawniej tam istniały.

Wszelkie wysiłki władz bezpieczeństwa ażeby dzielnicę tę oczyścić z niebezpiecznych żywiołów — okazywały się daremne.

Śledzeni, osaczani, przepędzani z miejsca na miejsce... nikczemnicy wracali z nieprzełamanym uporem do tych miejsc, mających dla nich nieodparty jakiś urok, wobec którego policja była bezsilna, aczkolwiek każda obława tam urządzana dawała zawsze połów obfity.

W omawianym wypadku jednakże nadzieje takie zdawały się być mniej uzasadnione, ze względu na pogodę, która była haniebna. Po paru śnieżnych dniach bowiem i przymrozku, nastąpiła właśnie odwilż, która sprawiła, iż błoto było powyżej kostek. Wiał przytem północno-wschodni wiatr, przejmujący chłodem do szpiku kości. Na domiar złego opadła mgła do tego stopnia gęsta, że się niewidziało wyciągniętej ręki.

— Psia służba! — zaklął jeden z ajentów.

— Niewątpliwie — przyznał starszy ajent, oddziałem dowodzący, — i jestem pewien, że gdybyś tak miał chociby tylko ze 30 tysięcy franków rocznej renty, to byś ani pomyślał o podobnym spacerze.

Słowa te były przyjęte głośnym śmiechem przez ogół ajentów, nie tylko ze względu, iż żart był nie najgorszy ostatecznie, lecz z tej przyczyny zwłaszcza, iż starszy ajent, piastujący godność inspektora, był bardzo przez swych podwładnych nie tylko, za swe zdolności, szanowny, ale i lubiany nawet.

Inspektor był rzeczywiście urzędnikiem dosyć cenionym w prefekturze, ze względu iż jego działalność niejednokrotnie była uwieńczona pomyślnymi wynikami. Nie był on może orłem w swym zawodzie, brakowało mu lotności bowiem, znał jednak swój fach wybornie. To powodzenie wyrobiło w nim pewność siebie, która zastępowała talent i intuicję.

Pewność siebie i rutyna — nie było to jednak wszystko. Inspektor był ponadto jeszcze i człowiekiem niezaprzeczenie już odważnym.

Lat miał około 45-ciu, budowę ciała silną, rysy twarzy ostre, małe wreszcie, piwnej barwy oczy, pod krzaczastemi brwiami.

Nazywał się Żewrol, podkomendni dawali mu jednak miano „Jenerała".

Przydomek ten schlebiał jego próżności; podwładni wiedzieli dobrze o tym.

Oddział szedł początkowo wcale nie najgorzej oświetlonymi ulicami, biorąc pod uwagę późną godzinę zwłaszcza. Okna licznych winiarń zastępowały latarnie. Nie było w tym nic dziwnego; Karnawał upijał się po szynkach i szalał po publicznych balach.

Z otwartych gdzieniegdzie okien buchały naprzemian: to piosenki pijackie, to znów krzyki wściekłości.

Od czasu do czasu oddział zatrzymywał się dla przyjęcia raportu kryjącego się w zaułkach domów ajenta. Domy jednak stawały się coraz rzadsze, aż wreszcie oddział wszedł na drogę, którą z trudem tylko rozpoznać było można pomiędzy polami.

W tem miejscu wyprawa kroczyła w warunkach, które z każdym krokiem stawały się przykrzejsze. Liczne rumowiska wreszcie — utrudniały pochód.

Tutaj nie było już świateł, nie było szynków, nie było śmiechu i pijackich okrzyków, panowały natomiast pustka, mrok i milczenie.

Ajenci kroczyli wydłużonym szeregiem, jeden za drugim, jak kroczyć zwykli indjanie po wojennej ścieżce.

Gdy oddział był przy końcu nie istniejącej de facto ulicy Chateau-de-Rentiers — rozpaczliwy krzyk rozdarł nagle powietrze.

Krzyk ten, w miejscu tem i o tej godzinie, miał swą przerażającą wymowę, to też cały oddział odruchowo, bez komendy, stanął jak wryty, i jakby jeden człowiek.

— Tak przeraźliwie i rozpaczliwie krzyczeć może jedynie walczący ze śmiercią! Gdzieś kogoś mordują! Ale gdzie? Cicho!! Słuchajmy.

Wszyscy wstrzymali oddech, nadsłuchując. I nie długo, nie upłynęło kilkunastu sekund nawet, jak ponowny krzyk przedarł powietrze, jak ostrze noża.

Ehe!... — zaopinjował inspektor — to w „Pieprzniczce".

Oryginalna ta nazwa doskonale określała tak miejsce samo, jak i jego bywalców.

W żargonie podmiejskich szumowin z okolic Montparnasse, pijanego nazywają „zapieprzonym", stąd miano: „złodziej pieprzowy", określał rzezimieszka, którego specjalnością było obdzieranie pijanych.

Podkomendni Żewrola nie zrozumieli jednak tego określenia, stojąc dalej bez słowa.

— Jakto? — zadziwił się inspektor — czyżbyście nieznali szynkowni ciotki Szupę, tam ot, naprawo się znajdującej? Nuże więc, galopem, lecz ostrożnie, żeby kozła w jakim dole nie wywrócić!

I, dając przykład, Żewrol puścił się szybkim biegiem, z przyciśniętymi do piersi pięściami, we wskazanym kierunku, pociągając tym przykładem cały oddział za sobą; nie upłynęła minuta, jak wszyscy ajenci stanęli przed domostwem już z samego wyglądu złowrogiem, znajdującym się pośrodku pustynnych najzupełniej placów.

Z tej prawdziwej nory zbójeckiej dochodziły owe zasłyszane krzyki, które nieustawały, w ślad za nimi rozległ się w końcu huk dwóch wystrzałów.

Dom był szczelnie zamknięty, po przez otwory w kształcie serc w okiennicach wyrżniętych buchały jakby odblyski szerzącego się wewnątrz pożaru.

Jeden z ajentów podbiegł do otworów tych, usiłując, po wydźwignięciu się w górę, rozpoznać, co się właściwie wewnątrz dzieje.

Żewrol natomiast dobijać się zaczął do drzwi.

— Hej tam!... otworzyć!! — zawołał.

Nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi.

Dochodził tylko do uszu ajentów odgłos dalej prowadzonej walki, przekleństwa, chrapania głuche, szloch głośny kobiety wreszcie.

— Okropne! — zawołał w pewnym momencie ajent u okiennicy zawieszony.

— Otworzyć! — zawołał Żewrol ponownie — w imieniu prawa.

Gdy zaś i ten zew pozostał bez odpowiedzi, odskoczył od drzwi, rozpędził się i potężnem ramieniem uderzył w nie, jak taranem.

Drzwi runęły od jednego uderzenia.

Wtedy ajenci zrozumieli od jednego rzutu oka, dlaczego ajent przez okno do wnętrza zaglądający „okropność" wołał.

Dolna izba „Pieprzniczki" przedstawiała taki widok, że nawet ajenci bezpieczeństwa, ze wszystkiemi okropnościami przecież obyci, Żewrola nawet samego nie wyłączając, stanęli jak wryci, zdrętwiali... dowacieli w zgrozie.

Lampy olejne i świece zostały pogaszone na samym początku bójki najwidoczniej, gdyż izbę oświecały jedynie płomienie płonących na kominku kłód sosnowych. Stoły i stołki były wszystkie, w całej izbie, powywracane, zaś podłogę zaścielały odłamki rozbitych szklanek i butelek.

Przed samym kominem, w poprzek, leżało na wznak dwóch mężczyzn, z rękoma rozrzuconemi, zupełnie już nieruchomi. Trzeci mężczyzna leżał pośrodku izby.

W głębi, na pierwszych stopniach schodów, do górnych izb prowadzących, siedziała kobieta, fartuchem przysłaniająca oczy i cicho jęczała.

Nakoniec w drzwiach przeciwległych, do dalszych izb parterowych prowadzących, stał jakiś mężczyzna, wyprostowany, blady, z obłąkaniem w oczach i z poza ciężkiego stołu dębowego, jak z za barykady spoglądał na leżących.

Był to człowiek w sile wieku, średniego wzrostu, z pełnym zarostem na twarzy. Miał na sobie ubiór robotników, pracujących przy wyładowywaniu statków. Odzież ta była w strzępach cała i poplamiona winem oraz krwią.

Nie mogło być wątpliwości. To był morderca właśnie.

Wyraz jego twarzy był przerażający. Szał, wściekłość, rozpacz i przerażenie widniały w jego oczach, śmiech jakiś okropny, konwulsyjny, wykrzywiał jego twarz...

Na szyi i policzku miał dwie rany obficie broczące krwią.

W prawej ręce chustką obwiniętej, trzymał on rewolwer pięciostrzałowy, z lufą w stronę ajentów wymierzoną.

— Poddaj się! — zakrzyknął Żewrol.

Wargi nieznajomego zadrgały, chciał najwidoczniej coś powiedzieć, lecz sparaliżowana wzruszeniami krtań odmówiła posłuszeństwa.

— Nie udawaj no, mój drogi — mówił inspektor — dom jest cały okrążony, choćbyś więc zabił jednego z nas, to i tak nie uszedłbyś naszych rąk, radzę więc: ręce do góry!

— Jestem niewinny — przemówić nakoniec zdołał osaczony, chrapliwym głosem.

— Ależ oczywiście! Sąd jednak, co do tego, nie do nas należy.

— Mnie napastowano. Spytajcie się stary. Zabiłem, prawda, lecz miałem do tego prawo, broniąc własnego życia!

Przy wymówieniu słów powyższych obwiniony uczynił ruch do tego stopnia groźny i zdeterminowany, że jeden z ajentów szarpnął nagle Żewrola, odciągając go poza mur ze słowy:

— Ostrożnie, jenerale. Łotr ten ma w dłoni rewolwer pięciostrzałowy, zaś słyszeliśmy dwa strzały dopiero!

Inspektorowi jednak było nieznane uczucie bojaźni, odepchnął więc ajenta i najspokojniej zbliżać się zaczął, sam bezbronny, do uzbrojonego, ze słowy:

— Nie rób głupstw, mój chłopcze. Jeżeli sprawa twa jest dobra, co nie jest zresztą wykluczone, to nie psuj jej czynami szaleńczymi.

Wyraz niepewności i wahania odmalował się na twarzy nieznajomego. Życie przeciwnika miał w swym ręku... Czy opuścić kurek?...

Nakoniec się zdecydował; rzucił broń na ziemię i rzekł:

— A więc mnie weźcie!

Był to jednak manewr. Nie zrobił wprawdzie użytku z broni, lecz się i nie poddawał również, błyskawicznym ruchem rzucił się w tył i znikł ajentom z oczu w ciemnościach izb dalszych.

Żewrol rzucił się za uciekającym momentalnie, lecz stół w poprzek stojący powstrzymywał jego kroki.

— Ach — zawołał — ten nędznik uciec nam może!

Lecz ten czyn mordercy jeden z ajentów, ten sam, który zaglądał przez okno, przewidział z góry, obszedł więc dom dookoła i dostał się do szynkowni przez



Niemka Marta Genenger pobiła w Bochum dotychczasowy rekord światowy w pływaniu, uzyskując na 200 jardów czas 2:49,2 m.

tylne wejście, a gdy zbrodniarz z domu już wybiegał, pochwycił go z tyłu w mocarne ramiona, a następnie z siłą i zręcznością wprost zdumiewającą, wciągnął go z powrotem do domostwa.

Napastowany próbował się bronić, lecz wysiłki te pozostały bez rezultatu, w pewnym momencie stracił równowagę, zachwiał się i padł na ów stół dębowy, który był jego obroną do niedawna, ze słowy:

— Już po wszystkiem! Prusacy nadciągają!...

Ten czyn podwładnego ajenta, znalazł, rzecz prosta, uznanie w oczach inspektora.

— Bardzo dobrze mój chłopcze — powiedział — nawet doskonale. Widzę, że masz talent, to też możesz zajść daleko, jeżeli natrafisz na jakąś dobrą sposobność...

Tutaj Żewrol zatrzymał się, nie kończąc rozpoczętego zdania, zwłaszcza iż w oczach wszystkich ajentów dojrzał zachwyt, podziw i uznanie, dla postępku początkującego nowicjusza. Pochwyciła go zazdrość, dojrzał gasnący swój wzrok, to też dodał pośpiesznie:

— Byłeś wykonawcą mego planu, którego nie mogłem wyjawić jednak, ażeby nie pouczyć łotra.

Ajenci tymczasem już się załatwili z pochwyconym, krępując jego ręce i nogi.

Nieznajomy nie bronił się zupełnie, biernie poddawał się wszystkiemu. Po nadmiernym wysiłku, nastąpiła u niego reakcja, oczy jego zmętniały i przygasły, ociężał cały, robiąc całym swym wyglądem wrażenie schwytanego w sieci zwierza.

Gdy Żewrol to zobaczył, zakomenderował natychmiast:

— No, o tego możemy już być spokojni, już on nam teraz nie ucieknie, czas więc byśmy pomyśleli o innych. Poświećcie mi jakoś, chłopcy, bo ogień, widzę, przygasł na kominie.

I inspektor po słowach tych rozpoczął badanie od ludzi leżących przy kominie.

Przedewszystkiem stwierdzić się starał stan ich serc, lecz serca te już nie biły. Przybliżał następnie do ich ust szkiełko od zegarka... lecz pozostawało ono czyste, bez najmniejszego choćby śladu zemdlenia.

— Niema co — powiedział po chwili — ci ludzie już nie żyją. Morderca doskonałe ma oko i bardzo pewną dłoń, jak się z tego okazuje. Pozostawmy ich tak, jak padli, aż do zejścia sądu i zobaczmy trzeciego.

Ten trzeci — oddychał jeszcze.

Był to zupełnie jeszcze młody człowiek, przyodziany w mundur żołnierza piechoty linjowej, bez broni. Pod rozpiętym mundurem tym widniała naga pierś.

Podniesiono go ze wszelkiemi możliwemi ostrożnościami, gdyż jęczał bardzo boleśnie i posadzono, plecy o mur opierając.

Otworzył wtedy oczy i gasnącym głosem „pić" zawołał.

Podano mu kubek wody natychmiast. Wypróżnił go z ulgą widoczną, a następnie odetchnął głęboko, widoczne było, iż powracają mu siły.

— Gdzie jesteś ranny? — zapytał inspektor.

— W głowę, o tu — dał odpowiedź zapytany — cierpię straszliwie.

Ten sam ajent, który pochwycił mordercę, zbliżył się wtedy do rannego i zaczął badać jego ranę z fachowością i lekkością urodzonego chirurga.

— To nic wielkiego — powiedział głośno, twarzą i oczami wyrażając jednak, iż ranę uważa za śmiertelną.

Ranny uśmiechnął się tylko.

— Już po mnie — powiedział — wiem to i czuję zbliżającą się już śmierć. Ale się nie skarżę, zasłużyłem na to.

Po usłyszeniu słów tych, oczy wszystkich ajentów zwróciły się w stronę mordercy, w mniemaniu iż zapragnie on teraz wyzyskać to zeznanie na swą korzyść, pogłębić je, umotywować...

Spotkał ich jednak zawód. Obwiniony nie uczynił najmniejszego ruchu, aczkolwiek słowa umierającego słyszał niezawodnie.

— To ten nikczemny Laszner jest winien wszystkiemu. Jego to był pomysł i on mnie namówił — mówił dalej ranny głosem coraz bardziej słabnącym.

— Laszner?

— Tak jest. Jan Laszner, były aktor, który mnie znał wtedy jeszcze, gdy byłem bogaty.

Otóż ten Laszner, widząc mnie w nędzy przyszedł do mnie i przyobiecał mi dać ogromną sumę, tak iż mógłbym znów rozpocząć dawniejsze życie. Uwierzyłem mu, a teraz umieram tutaj, w tej oto norze, jak pies. Ale ja się zemszczę.

— Ja zemścić się muszę! — powtórzył. — Wiem bowiem więcej, aniżeli mu się zdaje. Powiem wszystko.

Umierający przeceniał jednak swoje siły. Uczucie nienawiści podnieciło na moment jego siły, lecz ten wysiłek właśnie przyspieszył katastrofę. Dwukrotnie otwierał usta, lecz te nie były już zdolne wydać głosu. Oczy stanęły mu w słup i tak zamarł w bezruchu.

— Skończyło się! — szepnął Żewrol.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

CZEKA NA LIŚCIKI

„Biała Lili." Właścicielka powyższego pseudonimu skarży się na samotność i brak towarzystwa. Pragnie tak, jak tyle Jej „siostrzyczek" urozmaicić sobie monotonję życia interesującą korespondencją. Czeka więc na liściki z dalekiego świata.

Z BRAKU ODWAGI

„Sarenka." Kochana Dziewczynko! Bardzo Ci dziękuję za zainteresowanie. Czuję się znakomicie i pracuję, jak zawsze z zadowoleniem w „Krainie."

A teraz zwracam się w imieniu „Sarenki" do „Dzika", by zechciał skreślić do Niej kilka miłych słów, gdyż „Sarenka" z braku odwagi nie może się zdobyć pierwsza na decydujący krok.

MOŻE KTOŚ UKOI?

„Sfinks."

Me usta wiecznie roześmiane,
A w sercu głucha tęsknota i ból...
Tęsknota za bajką, za tem co święte, ukochane,
Co nie chce przyjść, choć jest mi bardzo źle.

— — — — — — — —

O przyjdź ma bajko cudna,
O przyjdź i ukój mnie,
Choć wiem, że jesteś złudna,
Lecz spłyń — bo jest mi źle...

Tym smutnym wierszykiem rozpoczęła nowa Sympatyczka „Krainy" swój miły i bardzo ładny liścik. W wierszyku tym zamknęła swój wewnętrzny stan duszy i ciche marzenie. Może ktoś ukoi tęsknotę i żal smutnej Dziewczynki?

PROSZĘ PAMIĘTAĆ

„Perełka z okolicy Borów Tucholskich." Kochana Perełko! Dziękuję serdecznie za życzenia. Korespondencję najprościej nawiążesz, przesyłając sama list do „Siostrzyczki" lub „Braciszka" na moje ręce. Ja chętnie przekażę go dalej. Proszę pamiętać zawsze o mnie i od czasu do czasu skreślić kilka słów. Przesyłam Ci śliczne pa!

GDY SIĘ DOWIE

„Ida." Liścik Pani oddaję cały do druku. Myślę, że „Samotny Borowiak" napisze do Pani, gdy dowie się, że Pani zainteresowała się nim:

„Kochana Pani Zosiu! Już od pół roku jestem stałą czytelniczką „Moich Powieści". Szczególnie zajmuje mnie „Kraina szczerości i naszych trosk." Od dawna chciałam pisać do Kochanej Pani lecz nie byłam pewną, czy znajdzie się dla mnie choć mały kącik — jednakowoż zdecydowałam się — wobec czego uprzejmie proszę o przyjęcie mnie do grona rodziny. Jestem 18-letnią ciemno-blondynką o czarujących, miłych oczach. Lubię niezmiernie muzykę, taniec i wesołe towarzystwo. Chciałabym korespondować z „Samotnym Borowiakiem", blondynem o oczach niebieskich. Zasyłam serdeczne pozdrowienia dla Kochanej Pani oraz wszystkich Sympatyczek i Sympatyków „Krainy szczerości i naszych trosk."

„Ida."

CHCIAŁABYM...

Chciałabym napisać Ci wiersz najpiękniejszy,
Pełen lśnień, blasków, barw cudnych i przeźroczy,
Od słońca samego nawet promienniejszy, —
Tak, by z przyjemnością czytały go Twe oczy.

Chciałabym napisać Ci wiersz najpiękniejszy,
Jak szczęście złocisty, spokojny i cichy,
A tęskny i słodki, jakby uśmiech gejszy,
Gdy pieści w zadumie magnolji kielichy...

Chciałabym napisać Ci wiersz najpiękniejszy,
Cudny, jak wiosennych, pierwszych kwiatów pąki —
Aby — choć na chwilę — tęsknotę Twą zmniejszyć
I oddalić smutek tak długiej rozłąki...

Danuta Wyrybkowska.

SYMPATYCZNA TRÓJKA

„Salus" — „Robinson" — „Carlo." Trzej studenci przedstawiają się przedstawicielkom „płci pięknej" — „Krainy szczerości":

„Oto my: 1. „Salus" — student na ukończeniu studjów, lat 23, dosyć wysoki, włosy, brwi i oczy czarne (ideał „Bursztynki"). Sportowiec, wesoły... Pisze na arkuszach wielkich po kilka stron naraz, a wszystko z potokiem humoru, z przydawką filozofji i zasad.

2. „Robinson" — prawnik, lat 22, wzrostu więcej niż średniego, brunet, pełen werwy, poszukiwacz wrażeń i przygód. Głęboki myśliciel i romantyk.

3. „Carlo" — student prawa i ekonomji, wzrost średni, lat 24, blondyn, oczy niebieskie w czarnej oprawie okularów, poważny i wesoły zarazem, muzykalny i wielki miłośnik sztuki.

Czekamy... napiszemy dużo, mądrze, wesoło i szczerze... Rzucamy hasło: „Frontem do nas!"

DOKĄD?

„Jania." Dokąd mam wysłać list Poste-Restante 285? Proszę mi wyraźnie napisać, a prześlę natychmiast.

POZDROWIENIA

„Janek z pod Buku" przesyła miłe i serdeczne pozdrowienia dla „Maryli" i „Krysi Leśniczanki." Jest to 27-letni młodzieniec, zajmujący odpowiednie stanowisko, średniego wzrostu, ciemny blondyn o niebieskich oczach. Mieszka w cichej, małej wiosce, położonej pod lasem. Pragnie za pośrednictwem „Krainy" poznać istotę dobrą, któraby mu przesłała kilka słów pocieszenia.

ADRES

„Spartanin." Proszę o przesłanie adresu, gdyż w redakcji jest pilny list dla Pana.

HALLO

„Bajka." Listy Pani są bardzo ciekawe i piękne, zwłaszcza ten, przeznaczony dla Wujka Janusza. Pragnęłabym gorąco, by życzenie Pani się ziściło i by znalazła Pani w naszym licznym gronie, bratnią duszę. W tym celu umieszczam kilka słów z listu Pani:

„Jestem młodą, wysmukłą blondynką, kocham muzykę, śpiew, kwiaty, humor — życie, i pragnę pogawędzić szczerze z jakąś bratnią duszą o podobnych walorach duchowych. Zatem hallo! Który z Czytelników odczuwa sentyment do blondynek, niech skreśli kilka słów — odpiszę pod słowem."

MIŁOŚĆ JAK BAJKA!

Bajka dla dzieci — taka czarowna,
Smutna, okrutna, a wkońcu tkliwa,
I dzieci z ocząt łzy smutku ronią,
Chociaż ta bajka jest... nieprawdziwa.

Miłość — jak bajka — taka czarowna,
Smutna, okrutna, a zawsze tkliwa,
I zakochani marzenia snują,
Choć często miłość jest nieprawdziwa.

„Marzycielka" — Bydgoszcz.

LUBIĘ!...

Lubię sentymenta,
Płacze, miłość, fraszki,
Poważne momenta,
Niewinne igraszki.

Lubię urok wiosny,
Łąki ukwiecione,
Poranek radosny,
Drzewa umajone.

Lubię też skowronka
Co nuci w błękicie,
I ze świtem dzionka
Ze snu budzi życie.

Lubię czytać wiele
Prześlicznych wierszyków,
I słowicze trele
Płynące z gaików.

Lubię też powieści
Z Żnina ukochane,
Któremi się pieści
Serce me stroskane.

W. Wesołowski.

BĘDZIESZ UMIAŁA...

„Panna Anna." Kochanie! jesteś taka młodziutka, świat przed Tobą otworem, więc masz prawo marzyć o szczęściu i osięgnięciu celów. Zawodem nie martw się, bo zawód to hart dla duszy. Cierpiąc, poznasz życie, wyrobisz sobie o nim własny sąd i w przyszłości będziesz umiała sobie poradzić z troskami i niepowodzeniami.

Pracę najłatwiej dostaniesz, dając w naszem czasopiśmie ogłoszenie, temwięcej, że opłata niewielka, bo począwszy od 50 gr. wzwyż.

Na zakończenie przesyłam wiele pozdrowień, oraz proszę o inny wierszyk, gdyż załączony, w wielu miejscach szwankuje w rytmie.

WYSŁAŁAM

„Czarnulka." Załączony liścik wysłałam. Czy Pani otrzymała już odpowiedź? Łączę pozdrowienia i uściski.

DLACZEGO?

„Szczera Ślązaczka." Przesłała Pani dwa razy pocztówkę z adresem. Czyżby Pani nie otrzymała listu, który wysłałam po otrzymaniu pierwszej pocztówki?

DO POWAŻNYCH MYŚLICIELI

„Lusieńka." Ciekawa jestem, co mogło tak młodziutką osóbkę zasmucić i przygnębić, no ale zaspokoję moją ciekawość przy następnym liście, gdyż „Lusieńka" przyrzeka się zwierzyć ze wszystkiego. W poczet członków naszej ogromnej „Rodziny," zaliczam Cię i apeluję do wszystkich poważnych myślicieli, by nawiązali z „Lusieńką" interesującą wymianę myśli.

PRZEDSTAWIĘ NASTĘPNYM RAZEM

„Mimoza II." Przyznaję Pani rację, że przy pracy mija czas za prędko. Tylko ludziom leniwym dłuży się i wydaje wiekiem. Z miłą chęcią przyjmuję Panią do „Krainy", a przedstawię następnym razem, gdy otrzymam inny pseudonim, gdyż w „Krainie" są już dwie „Mimozy". Czekam więc!

WYSŁAŁAM

„Stefa Sz." List dla „Darz-Bora" wysłałam. Dziękuję za słowa uznania. Łączę serdeczne pozdrowienia.

MIŁOŚĆ

Z. Garbie — w odpowiedzi na wierszyk p. t. „Miłość kobiety i lalki"

Dlaczego ty miłość tak czarno malujesz,
Dlaczego tak piszesz, a inaczej czujesz?
Nie byłeś kochany, bo sam nie kochałeś!
Czyż wolno ci sarkać, skoro jej nie znałeś?

Miłość — słowo święte, nie wolno go brukać,
Miłość nie zamarła! lecz trzeba jej szukać,
Ale chcąc ją poznać, trzeba ją rozumieć
I chcąc być kochanym, trzeba kochać umieć.

Gdy kochasz prawdziwie — zaklęcia zbyteczne,
Gdy jesteś kochany — to na zawsze — wiecznie.
Więc nie sarkaj jeżeliś kiedyś zawód miał —
To nie była miłość.... to był tylko szał.

Miłość jest niezmienna — nie uznaje mody,
Miłość szczera, prosta, z serca — nie wygody,
Miłość, która z szczęścia każe głośno szlochać
Przebaczać — i bez końca kochać! kochać! kochać!

„Dzinka."

NIE ROZUMIEM

„Ika III." Nietylko dwie „Iki", ale trzy już mamy, więc „Ika III" dla wygody zapewnie zmieni pseudonim, prawda? Kochana Dziewczynko! dowiaduję się, że nie masz odwagi do mnie napisać... Dlaczego? Piszesz przecież tak miło, że nie rozumiem Twoich obaw i skrupułów. A może ich się pozbędziesz po mojej odpowiedzi?

Czy nr. „M. P." przychodzą teraz punktualnie?

KIEDY?

„Tonia Altruistka.“ Za oryginalny „kwiatek“ dziękuję z głębi serca. List do „Miłej Szatynki“ wysłałam. Mam nadzieję, że Jej sprawił zadowolenie? Kiedy „Tonia“ znowu się odezwie?

DWIE SIEROTKI

„Wianek“ i „Bukiet“, dwie, kryjące się pod temi pseudonimami sierotki — siostrzyczki pukają do bram „Krainy“, prosząc o przyjęcie. Życzenie wypełniam skwapliwie, bo sierotkom należy się zawsze gościnność i pierwszeństwo. Dowiaduję się z liściku Siostrzyczek, że pragnęłyby nawiązać również korespondencję z miłemi chłopcami. Podawają swoje rysopisy. A więc: „Wianek“ to 21-letnia szatynka, zgrabna, nie brzydka, zawsze z rumieńcami na buzi, posiadająca miłe usposobienie. Druga Siostrzyczka jest bardzo podobna do pierwszej, z tą różnicą, że posiada lat 20. i jest muzykalną.

WYOBRAZIŁAM SOBIE

„Smutny Urwis.“ O tak, chciałabym zobaczyć minę Pana! w każdym razie wyobrażam ją sobie trochę. Wierszyk nieco za długi, ale nie najgorszy. Proszę utwory przesyłać zawsze Wujkowi Januszowi do oceny.

„LECZ NIE MAM DO KOGO...“

„Idealista Pałucki.“ „...Jestem bardzo starym, bo mam lat 22, mówią, że dość przystojnym i grzecznym. Lubię marzyć i pisać, lecz nie mam do kogo. Mieszkam na wiosce, oprócz radja nie posiadam żadnych rozrywek i dlatego jest mi bardzo smutno...“ — skarży się „Idealista Pałucki“. Kiedy tak, postaramy się, by było Panu wesoło i pogodnie, prawda, małe śmieszki i słonka naszej „Krainy“? Wierszyk, po małych poprawkach, zamieszczam poniżej:

ROZMYŚLANIE

Kiedy deszcz ze śniegiem o szyby bije,
Kiedy myśli poza śnieżną lecą dal,
A wicher za oknami groźnie wyje,
Jest mi czegoś smutno, jest mi czegoś żal.

Rozmyślam: — że idę w życiu samotny,
Że przeszło szczęście i znów sam zostałem
Na resztę życia. Wszystko los sromotny
Zabrał... i zrobił mnie smutnym, — tak małym.

A odkąd przez życie kroczyć muszę sam,
Wszystko dla mnie dalekie jest i obce...
Na strunach nieszczęść smutną melodję gram,
Do wtóru deszcz pada, kropla po kropce.

I kiedy wszystko w życiu mnie zawiodło,
Rozmyślam jeszcze, krzepię się nadzieją,
Że los mój smutny zmieni swoje godło,
I że dni szczęścia jeszcze zajaśnieją.

„Idealista Pałucki.“

„STOKROTKA“ LUBI POWAGĘ

„Stokrotka.“ Dziękujemy z Wujkiem Januszem za pozdrowienia i proszę o częste takie miłe liściki.
A teraz apeluję w imieniu „Stokrotki“ do poważnych Panów, by nawiązali z Nią korespondencję. „Stokrotka“ marzy o przyjaźni, której pragnie być słonkiem.

PROSZĘ NAPISAĆ KRÓTSZY

„Pomorzanka z nad Wisły.“ Kochanie, wierszyk bardzo długi, proszę napisać krótszy i przesłać, a napewno oddam do druku. Pozdrowienia odwzajemniam. Czy p. S. otrzymuje teraz punktualnie „Moje Powieści“?

GDY NOC NADCHODZI...

Gdy ciemna, dżdżysta noc nadchodzi,
Stęskniony wzrok ślę w dal,
W piersi się dziwny smutek rodzi,
Tak czegoś sercu żal.

Gdy ciemna, dżdżysta noc nadchodzi,
Tak strasznie smutno mi,
Dusza ma płacze i zawodzi,
A serce cicho drży.

„ORD-OM.“

Gołaszewo, 1935 r.

Teczka Wujka Janusza

WARTO!

„Juna Lamideano.“ Myśli w nowelach wspaniałe. Szkoda tylko, że nie dopisuje im styl. A może Pan jeszcze trochę popracuje nad niemi? Chętnie je zamieszczę po przeróbce. Wierszyki słabe. Jednakże niech się Pan nie zraża krytyką i dużo pracuje nad sobą, gdyż warto.

PISZĘ ZAWSZE TO CO CZUJĘ...

„Biała Uajali.“ Zdumiewam się postępem w utworach Pani... tyle w nich uczucia. Jednakże dość! Wstrzymuję się tym razem od dalszych słów, gdyż w ostatnim liście nadmieniła Pani, że nie lubi zbytnich wylewów uznania... Pisałem jednak i piszę zawsze to co czuję. Za fotografję dziękuję, sprawiła na mnie wrażenie, ponieważ inaczej wyobrażałem sobie Panią. Teraz rozumiem dlaczego wierszyki podobają mi się. Oczy takie, jak Pani, muszą umieć pięknie patrzeć na świat.... Żegnam Panią serdecznemi pozdrowieniami.

A MOŻEBY?...

„Nauczyciel Pom.“ Pierwsze próbki talentu Pana wypadły pomyślnie. Rym i rytm jest zupełnie dobry, jedynie kompozycja mogłaby być oryginalniejsza. Sądzę, że postara się Pan o to i wkrótce otrzymam znowu kilka wierszyków, które mam wrażenie ukażą się w „M. P.“ A możeby Pan napisał coś dla „Mojego Świata“, pisemka przeznaczonego dla młodzieży? Serdecznie pozdrawiam i czekam na odpowiedź.

„GRAJ FUJARKO“

Graj fujarko wierzbinowa,
Graj fujarko, graj,
Niech popłynie głos spiżowy,
Hen na nasze tam dąbrowy,
Hen przez pola i przez gaje,
Nad srebrzyste te ruczaje,
Graj fujarko, graj!

Niechaj niesie echo tony,
Graj fujarko, graj,
Niechaj słyszy je kochanie,
Niech popłynie twoje granie,
Hen na nasze tam zagony,
Niechaj cieszą twoje tony.
Graj fujarko, graj!

Graj fujarko smętnie rzewnie,
Fujareczko graj,
Niech w twych tonach żal wybiegnie,
Niechaj smutek cicho legnie,
Gdzieś na krańce niech poleci,
To co rozpacz w duszy nieci,
Fujareczko graj!

Niesie echo po dąbrowie
Fujareczki głos,
Niesie tony słodkie, rzewne,
Niecąc szczęścia myśli zwiewne,
Rwie na strzępy nić rozpaczy,
Ton ten nikły i tułaczy
Fujareczki głos!

„Biała Uajali.“

Września, w lutym 1935 r.

ŚNIEG

Dokoła biało: Legły kobierce śniegowe,
Jako niezapisane, czyste życia karty,
Każdy krok mój zostawia ślad na nich niestarty,
Na bieli nieskalanej znacząc kleksy płowe.

Oglądam się za siebie na stóp moich ślady,
Wyżłobiły wśród śniegu szarą, nową drogę,
Choć ich w mgłach oddalenia rozpoznać nie mogę
— Zakłócają harmonję srebrzystej ballady.

Jednak wierzę niezłomnie, że jutro iaksamo,
Płaty śniegu się znowu posypią srebrzyste,
I znowu będą wielkie płaszczyzny przeczyste,
Nie zbrudzone ni jedną szaro-płową plamą.

Dlatego chociaż przeszły przewroty dziejowe,
Chociaż się krew polała purpurową strugą —
— Wszystko — kiedy minęło — zapomną niedługo,
Pełne wiary w moc własną, pokolenia nowe.

M. Mszczycka.

WSZYSTKO W PORZĄDKU

„Marzycielka“ — *Bydgoszcz.* Arkusik z monogramem śliczny, lecz słowa... zadziwiające. Droga „Marzycielko“! skąd takie przypuszczenia i to „przygotowanie na najgorsze“? Ależ nic się nie stało! Wszystko w porządku! Trochę zamarudziłem tylko z umieszczeniem wierszyków, bo mam tyle innych w teczce, ale sympatji ani trochę nie straciłem dla Autorki, tak miłych utworów. Ani mi się śni o „redukcji“, przeciwnie, proszę znowu grzecznie o serję wierszyków takich nastrojowych i pełnych sentymentu, jak zawsze.

ZIMOWA NOC

W wichrów poświsty zasłuchana,
W białe kolumny zapatrzona,
Żałobnym płaszczem omotana,
Zimowa nocka cicho spływa.

Na białym szlaku dogorywa,
Nikła janczarów pieśń tęskliwa,
Echo po lasach się roztkliwia,
Dźwięczy cichemi b-mollami.

Wichura jęczy nad polami,
Wioska zakryta tumanami,
W chatach światełka lśnią przyćmione...

Odgłosy pieśni przytłumione,
Oczy wspomnienia łzą zamglone,
Bajka się snuje za krosnami...

A. Kaźmierczakówna.

MAM WRAŻENIE

„Złot... an.“ Przesłany wiersz rytm i rym ma dobry, jednak posiada niedociągnięcia w stylu. Na prz. nie można się zwracać do kogoś ze słowami: „Kocham Ciebie barwny życia kwiat!...“ To jednak drobnostka, takie niedomaganie można łatwo usunąć, czytając dużo. I dlatego właśnie mam wrażenie, że otrzymam kiedyś znowu wiersze od Pana... ale już dobre. Załączam serdeczne pozdrowienia i uścisk dłoni.

ŚNIĄ MI SIĘ

Śnią mi się nieraz oczy kochane,
Oczy jedyne, zielono-szare,
Śnią mi się usta wciąż roześmiane,
Usta upojne — jak wino stare.

Śnią mi się słowa kiedyś słyszane,
Słowa miłosnym płonące żarem,
I włosy — moją ręką targane,
I te dni szczęścia... szczęścia nad miarę...
— — — — — — — —
Gdy anioł snu zamknie oczy moje,
Zwid szczęścia na srebrnych skrzydłach spływa...
Twa postać staje przy mnie jak żywa. —

— Wpatrzona w drogie oblicze twoje,
Blaskiem twych źrenic — swe oczy poję...
I wtenczas jestem taka szczęśliwa!...

W. Kędziorówna.

Śrem, w 1934 r.

ZAWALIDROGA MA GŁOS

Czasy teraz takie nastali, że nikomu wierzyć nie można, nawet rodzonemu szwagrowi.
Mój szwagier, ile razy podchromoliliśmy sobie gdzie w knajpie, takie miał nature, że przed płaceniem rachunku, łeb mu się na stół opuszczał i kimał tak, że goście przy inszych stolikach ziewali jak najęte.
Współczucie miałem dla niego na tem punkcie. Myślałem sobie:
— Biedny człowiek, słabe głowe ma, na ankoholika zdrowia nie posiada, a chęci mu nie brakuje.
Znakiem tego płaciłem za niego i za siebie i jak te nieprzytomne ofiare losu na powietrze z gastronomicznego lokalu wyprowadzałem.
Tak było przez długi czas, ale wkońcu zdziwiło mnie, że szwagier na ulicy z miejsca oczy otwiera i spać mu sie nie chce, a jak przechodziłem koło drugiej restauracji znowuż

Raj kobiet

Katechizm kobiety

W Brukseli — panie Yvonne de Man, Helena Denis i Berta Łabille wydały — katechizm kobiety.

W przedmowie autorki zwracają się do czytelniczki — Przyjaciółki i do Czytelnika — Przyjaciela w następujących wyrazach.

Jeśli nie traktujesz obojętnie faktu, że jesteś zobowiązana do posłuszeństwa mężowi i że jesteś podległa mężczyźnie, że los twoich dzieci zależy całkowicie od woli mężczyzny, a twojem jedynem prawem jest milczenie, że mężczyzna ma prawo roztrwonić majątek swej żony i pozostawić ją w nędzy, że cudzołóstwo kobiety jest surowiej karane, aniżeli mężczyzny, i że płacąc w jednakowej skali podatki, nie masz prawa kontroli nad wydatkami państwa, oraz nie możesz się sprzeciwić niesprawiedliwości tych faktów w stosunku do siebie, twoich towarzyszek lub córek, — zamknij prędko tę książkę i dalej żyj biernie i błogo.

W przeciwnym razie, jeżeli pragnienie sprawiedliwości cię dręczy, jeśli współczujesz swoim towarzyszkom i jeśli wspomniane prawa zadały ci ból — przeczytaj uważnie tę książkę i o ile zostaniesz przekonana o słuszności jej argumentów rozpocznij działalność zgodnie z twem sumieniem i maksymą Marka Aureljusza:

Bywa się często niesprawiedliwym zarówno nic nie robiąc, jak i robiąc mało. Czytelniku-Przyjacielu — nie miej do nas żalu za słowa gorzkie, które wypowiadamy przeciwko mężczyznom, przecież to im zawdzięczamy ustawodawstwo, tak nas krzywdzące.

Zastanów się nad naszem położeniem i odpowiedz sumiennie, czy chciałbyś być na naszem miejscu.

Wierzymy, że jeśli jesteś uczciwy i sprawiedliwy, to nie popełnisz tych wszystkich nadużyć, na które prawo pozwala mężczyźnie, ale najlepsza jednostka obdarzona prawem ucisku może podlegać pokusie użycia, a nawet nadużycia tego prawa, a my nie chcemy dopuścić... do twojej walki z pokusą.

---

pragnienie odczuwa i może gazować a takżesamo wtrajać od początku.

Myśle sobie, tu coś nie w porządku, ale nic mu nie mówiłem, tylko poniekąd wczoraj zrobiłem mu prepozycje żebyśmy sie przeszli na jednego „Pod minogie".

Faktycznie zgodził sie odrazu, bo co pod względem ochlaju to zgodny człowiek jest jak rzadko.

Ja, ma sie rozumieć, kazałem dać jedne butelkie, potem drugie. Po trzeciej mówie:

— No, Feluś, trza iść do domu, bo żona łęskni i z pogrzebaczem na mnie wpaść może. Będziem płacić.

Patrze, a szwagier już kima i chrapie, tak, że pontjery w oknach sie wiwają i jakiś gość co koło nas siedział grymasi, że mu w krupnik dmucha i potrawę studzi. A rzecz wiadoma, że krupnik tylko na gorąco.

Myśle sobie, toś ty taki przytomniak? Brata żony w karafkie nabijasz? Z krewnego warjata robisz? Dopiero co smażonego karaska wtroiłeś, tak, że tylko oczy i krzyż pacierzowy sie zostały, a teraz śpiące królewne odstawiasz? W sennem marzeniu sie znajdujesz, żeby swojej doli w rachonku nie pokryć?

Tak mnie to zgniewało, że zrobiłem pewne postanowienie uderzenia go w szemrany kant..

Zapłaciłem rachonek do pucu położyłem złotówkie na stole, niby tyż to dla obsługi, a sam za samogrające szafe sie schowałem i patrze co będzie dalej.

Szwagier roztworzył zara oczy, obejrzał sie naokoło, nawalił złotówkie, nalał sobie reszte wódki z butelkie i dawaj ogryzać zapłaconą nóżkie cielęcą w cieście na zimno.

Jakżem to zobaczył, o mały figiel krew mnie zalała, ale miałem tyle jeszcze zmysłowej przytomności, żem zerwał ze ściany lanszaft pod tytułem: „Bitwa pod Cecorą" i jak niem przypakowałem szwagrowi, to mu łeb na drugie strone przelazł.

Szwagier, oprawiony w złote rame, wyleciał na ulice, a ja za niem z wiedeńskiem krzesłem w ręku. Ganiałem go z godzinę, ciągle moralne naukie giętem meblem uskuteczniając, aż nas obydwóch do mamra zamkli.

Z tego widać, że miłość rodzinna w narodzie upadła i trzeba sie wziąść za jej ratonek, bo inaczej nic będzie z nami, prosze Państwa.

HIGJENA I ZDROWIE

Djatermja leczy

serce i nerki

Wiedza zdobywa coraz to nowe dziedziny lecznictwa. Medycyna przyswoiła sobie obecnie t. zw. ultrakrótkie fale Marconiego, które znalazły zastosowanie w różnych chorobach. Fale te służą do równomiernego przegrzewania tkanek. Przy długości fal 15 mtr. przegrzewania tkanek jest równomierne, przy długości poniżej 15 mtr. selektywne. Przegrzewanie selektywne może służyć do zabijania bakteryj i innych celów. Od djatermji zwykłej różni się djatermja krótkofalowa jeszcze i tem, że nie wywołuje ona oparzelin przy nieumiejętnem obchodzeniu się z aparatem. Działa ona na tkanki uśmierzająco, łagodzi ból.

Doktór Zoltean Rausch opisuje najnowsze sukcesy stosowania djatermji krótkofalowej w chorobach serca i nerek. Podczas anginy pectoris, zapalenia aorty, wady zastawek sercowych, nerwicy okazuje djatermja krótkofalowa w zastosowaniu doskonałe wyniki, uśmierza bóle, uspokaja, polepsza stan obiegu krwi.

Najlepsze wyniki osiągnięto podczas napadów duszniczy bolesnej, gdyż fale djatermiczne likwidują bóle i uczucie niepokoju. Bardzo wydatne polepszenie sprawia zastosowanie djatermji krótkofalowej u chorych na arterjosklerozę przy wysokiem ciśnieniu krwi. Obniżka ciśnienia sięga 30—60 mm. po djatermji i nie jest tylko przejściową. Chroniczne lub świeże wypadki zapalenia nerek dają się również leczyć pomyślnie przy stosowaniu djatermji krótkofalowej, która wywołuje przekrwawienie nerek i rozszerzenie naczyń krwionośnych. Dla medycyny i dla chorych jest to poważna zdobycz.

Ze świata

Aluminjowe tramwaje

W Amerykańskiem mieście Cleveland puszczono w ruch tramwaje, zbudowane w znacznej części z aluminjum. Koła, hamulce, osie i resory tych wozów są stalowe, inne części z aluminjum. Wagon taki waży tylko 13.700 kg. podczas gdy waga wozu żelaznego wynosi 19.700 kg, czyli o 30 proc. więcej. Lekkość wozów umożliwia też znaczną oszczędność siły pędnej. Doświadczenia dotychczasowe wykazały, że wozy aluminjowe są bardzo trwałe, wywołują znacznie mniej hałasu, niż normalne i o wiele mniejsze zużycie sił.

Człowiek jest coraz mniej potrzebny

W Porte Dauphine zastosowano poraz pierwszy komórkę selenową, (fotoelektryczną) do samoczynnego zapalania i gaszenia lamp ulicznych i innych miejskich.

Gdy mrok zapada, komórka przestaje przepuszczać prąd w przyrządzie wyłączającym dopływ prądu do lamp, — lampy się zapalają.

O świcie komórka selenowa pod wpływem światła dziennego przepuszcza prąd i aparat przerywa dopływ prądu do lamp.

To urządzenie wyręcza robotnika, który musiał stale czuwać o zmroku i o świcie, by w odpowiedniej chwili zapalać i gasić latarnie.

Człowiek, jak się okazuje, jest coraz mniej potrzebny.

Nowa pociecha, — ale nie dla krawców

Pewien chemik angielski wynalazł tani środek uodporniania materjałów bawełnianych i z jedwabiu sztucznego tak, że nie podlegają rozdarciu. Właściwość tę uzyskuje się przez zanurzenie materjałów w specjalnym płynie.

W dawniejszych stuleciach dzieci ubierano tak samo jak dorosłych, jak to widzimy na starych obrazach. Widać tam sześcioletnich chłopców w kontuszikach, przy szabli z kołpakiem, a małe dziewczynki w krynolinach.

W Sjamie kobiety sfer zamożnych codziennie przywdziewają szaty innego koloru, a więc w niedzielę koloru lśniąco czerwonego, w poniedziałek z srebrnej lamy, we wtorek koloru bordo, w środę zielonego, w czwartek dowolnego, w piątek jasnobłękitnego, a w sobotę ciemnogranatowego.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

WP. Komenderówna — Mysłowice. Pieniądze przekazaliśmy na prenumeratę.

WP. Józef M. — Brody. Sprawę przekazywania „Moich Powieści" załatwiła administracja. Odcinki powieści „Wśród Warjatów" zostaną powiększone, jednakże „Kraina Szcz." będzie miała poprzednie rozmiary, ze względu na olbrzymie zainteresowanie. Przesyłamy pozdrowienia.

WP. Feliks Gałecki — Głowno. Dziękujemy za pięknie wykonane łamigłówki. Umieścimy stopniowo.

WP. F. Reitz — Grudziądz. Pretensje załatwiła administracja. Wiersz narazie odłożyliśmy gdyż wymaga dość dużej poprawki. Może Pan w międzyczasie nadeśle inne?

Co słychać w polityce?

Dalsze losy **projektów londyńskich** i napięcie stosunków **włosko-abisyńskich**, to dwie kwestje, o różnej rozpiętości, dokoła których koncentrowała się uwaga polityczna w ubiegłym roku.

W pierwszej dziedzinie mamy do zanotowania sprecyzowanie stanowiska Niemiec wobec propozycyj wysuniętych w Londynie, — zawarte w nocie niemieckiej przesłanej w czwartek ub. tygodnia rządowi francuskiemu i angielskiemu.

Nota niemiecka **nie spotkała się** w Paryżu i Londynie z jednolitem przyjęciem. O ile Londyn gdzie główny nacisk położono na pozytywne ustosunkowanie się Niemiec do projektu paktu lotniczego, przyjął notę z zadowoleniem o tyle w Paryżu, gdzie główny nacisk kładzie się na zagadnienie gwarancji bezpieczeństwa, zastrzeżenia wysuwane przez rząd Rzeszy w sprawie ogólnych paktów bezpieczeństwa spotkały się z przyjęciem raczej chłodnym.

Paryż doskonale **zdaje sobie sprawę** z celów gry **niemieckiej** — która zmierza z jednej strony do przewlekania rokowań, by w międzyczasie zakończyć dzieło swego dozbrojenia, z drugiej, do odseparowania Anglji i Francji. Rozbicie solidarności francusko-angielskiej, przez wyzyskanie istniejących w pewnych kołach angielskich niechęci do angażowania się w systemie umów wielostronnych, będzie najbliższym celem taktycznych zabiegów dyplomacji niemieckiej.

Szczególnie niekorzystne wrażenie wywołało w Paryżu pominięcie w nocie niemieckiej kwestji dla dyplomacji francuskiej tak zasadniczych, jak pakt naddunajski i w większym jeszcze stopniu, pakt wschodni. Przemilczenie to jest zdaniem paryskich kół politycznych wymownym dowodem, że Niemcy dążą uporczywie do zachowania całkowitej swobody działania w Europie wschodniej, stając tem samem w wyraźnej sprzeczności z podstawą porozumień londyńskich.

Sprawa **paktu wschodniego** interesuje w tej chwili najżywotniej dyplomację sowiecką, która wszelkiemi drogami wywiera w tym kierunku nacisk na dyplomację francuską. Związawszy się zbyt łatwo z Rosją sowiecką, Francja znalazła się w trudnej sytuacji. Z jednej strony doprowadziło to do osłabienia sojuszu polsko francuskiego, z drugiej — coraz więcej staje się widocznym, że porozumienie francusko sowieckie, staje się narzędziem w ręku dyplomacji sowieckiej, do aktywizacji jej polityki w Europie.

Jest to zjawisko niepożądane, na które zwracają coraz większą uwagę publicyści zachodni, przestrzegając Francję przed zbytniem wiązaniem się z Sowietami, co mogłoby doprowadzić do rozbieżności z Anglją i rozbicie tem samem głównego węzła pokojowej polityki europejskiej, jakim jest współpraca francusko-angielska.

Kwestja paktu wschodniego budzi również zastrzeżenie w Rumunji, dla której jak pisze jeden z czołowych dzienników rumuńskich paktem jedynie odpowiadającym interesom Rumunji, byłby pakt nieagresji z Sowietami, podpisany przez Polskę, Rumunję, Turcję i państwa bałtyckie — w uzupełnieniu protokółu Litwinowa. Pakt, negocjowany obecnie, według życzeń inicjatorów, ma iść po zupełnie innej linji: Rosja, **Polska**, Niemcy, Czechosłowacja, Francja. Obowiązkiem naszym — pisze wspomniany dziennik — jest wymagać uczestnictwa w pakcie obok **Polski**. Wbrew zapewnieniom rozmaitych czynników, uważamy, iż niema dla nas lepszej drogi, niż droga wspólnych interesów z Polską. Polityka panslawizmu nas nie interesuje. Mamy inne troski, niż gwarantowanie związkowi sowieckiemu integralności granic, zapewnienie mu mocarstwowości europejskiej oraz konieczności aljansu Francji i Rosji na śmierć i życie. Chcemy żyć z Rosją w pokoju — kończy dziennik swe wywody — jednakże interes nasz nakazuje nam przy omawianiu sprawy paktu wschodniego stanąć na stanowisku wspólnych interesów prawdziwych przyjaciół.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 24. II. do 2. III. 1935 r.

Niedziela, dnia 24 lutego 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.00 Transmisja Nabożeństwa 11.10 Przegląd teatralny 11.25 Transmisja z Lipska: Haendel: Oda do św. Cecylji 14.00 „Przez lądy i morza" (pogadanka kraj.). 13.15 Poranek muzyczny 14.00 Muzyka salonowa 15.00 „Samorząd w wiejskiej gminie" — wygł. p. Wincenty Gortat gosp. z Góry Bałdrzychowskiej, pow. Łęczyckiego. 15.15 Utwory klarnetowe (płyty) 15.25 „Przegląd rynków produktów rolnych" 15.15 Utwory na ksylofon 15.45 „O czyszczeniu nasion do siewu" — gawęda 16.00 „Urzędnik — encyklopedysta" (groteska) 15.20 Recital śpiewaczy 16.45 „Łamigłówki" dla dzieci starszych 17.00 Koncert orkiestry wiejskiej 17.50 „Historja sztuki w opracowaniu polskich uczonych" — (Odczyt z cyklu „Książka i wiedza") 18.00 „Teatr Wyobraźni" 18.45 „Młodzież na wsi" — (Odczyt z cyklu „Życie młodzieży") 19.00 Muzyka lekka 19.50 Feljeton aktualny 20.00 Koncert popularny 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 Wiadomości sportowe 21.45 „Skrzynka pocztowa techniczna" 22.15 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 25 lutego 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Koncert 13.00 Dziennik południowy 13.05 Utwory skrzypcowe 15.35 Przegląd giełdowy 14.45 „W Tyrolskiej wiosce" — koncert 16.45 Lekcja języka niemieckiego 17.00 „Śląskie tańce ludowe" 17.25 „Skrzynka pocztowa" 17.35 Pieśni 17.50 „Osobliwości w dziedzinie liczb" — Odczyt 18.00 „Skrzynka pocztowa rolnicza" 18.10 Przegląd filmowy 17.15 Recital fortepianowy 18.45 „Nad Świtezią" — Pogadanka krajoznawcza dla dzieci starszych 19.00 „Wędrówka mikrofonu po Polsce" 19.25 Chwilka społeczna 19.30 „Z dawnego ceremonjału" 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 „Saksofon, piosenka i gitara" 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 Koncert symfoniczny 21.45 Odczyt z cyklu „Dziwy ciała ludzkiego" — „Serce najsprawniejszy motor" 22.12 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 26 lutego 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Koncert popularny 12.45 Opowiadanie dla dzieci młodszych 13.00 Dziennik południowy 13.05 D. c. Koncertu popularnego 15.45 Muzyka lekka 16.55 „Skrzynka pocztowa P. K. O." 17.00 Koncert Chóru Akademickiego z udziałem p. Aleks. Hernesa 17.25 Pogadanka społeczna 17.35 Muzyka salonowa 17.50 „Skrzynka pocztowa techniczna" 18.00 Wiadomości rolnicze 18.15 Kwintet na 2 skrzypiec, altówkę, wiolonczelę i kontrabas 18.45 „Życie literackie Łodzi" — szkic literacki 19.00 Recital śpiewaczy 19.20 Pogadanka aktualna 19.30 Menuety klasyków 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 Pieśń Miłości" — operetka w 3-ch aktach W I-ej przerwie: Dziennik wieczorny W II-ej przerwie: „Jak pracujemy w Polsce" 22.15 Muzyka taneczna 22.45 Odczyt w języku esperanckim. „Polacy podróżnicy i odkrywcy".

Środa, dnia 27 lutego 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Koncert 13.00 Dziennik południowy 13.05 Piosenki 15.45 Fragment teatralny 16.00 Zespół harmonistów warszawskich i solista 16.45 „Listy od dzieci„ (starszych) 17.00 Utwory skrzypcowe 17.25 „Racjonalne obuwie" (pogadanka dla kobiet) 17.35 R. Schumann: Manfred — uwertura 17.50 Poradnik sportowy 18.00 „Skrzynka pocztowa rolnicza 18.15 Zespół Stefana Rachonia 18.45 Odczyt gospodarczy 19.00 „Miniatury kwartetowe" 19.20 Pogadanka aktualna 19.30 Piosenki 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 Wieczór Kasprowiczowski 20.30 Eric Coates: Londyńska suita w wykonaniu „New Light Symphony Orch" 20.35 Dziennik wieczorny 20.45 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 Koncert Chopinowski 21.30 Odczyt w języku angielskim. „Dwa skarby z Krakowa — złoty globus i arcydzieło Lionarda" 21.40 Pieśni polskie 22.15 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 28 lutego 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Program dla dzieci 12.30 XVII poranek szkolny Słowo wstępne wypowie p. Tadeusz Mayzner 13.00 Dziennik południowy 13.05 Z rynku pracy 13.10 Dalszy ciąg koncertu szkolnego 15.45 Drobne utwory 16.00 Muzyka lekka 16.45 Lekcja języka francuskiego 17.00 Teatr wyobraźni nadaje słuchowisko p. t „Z przeszłości" 17.50 „Skrzynka pocztowa" 18.00 Pogadanka rolnicza 18.15 „Tragedja Salome". op 50 Objaśnienia dr. Emilji Elsnerówny (płyty) 18.45 „Co czytać?" nowości poetyckie 19.00 Duety 19.20 Pogadanka aktualna 19.30 Melodje z filmu 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 Koncert wieczorny 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 Koncert 21.45 „Kultura Wielkopolska" Odczyt z cyklu „Wielkopolska Współczesna" 22.15 Muzyka taneczna 22.45 „Włosi we Lwowie i Wilni" — odczyt w języku włoskim

Piątek, dnia 1 marca 1935 r.

5.45 Audycja poranna 12.10 Koncert 12.45 „Starsi i młodsi" Odczyt 13.00 Dziennik południowy 13.05 Melodje operetkowe — (płyty) 15.45 Muzyka lekka 16.45 Audycja dla chorych 17.15 Muzyka lekka (płyty) 17.50 Przeglad wydawnictw 18.00 Wiadomości rolnicze 18.15 Koncert 18.45 „Siódme miasto uniwersyteckie w Polsce" Odczyt 19.00 Pieśni (płyty) 19.20 Pogadanka aktualna 19.30 Pieśni kurpiowskie 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 „Jak spędzić święto"? 20.05 Pogadanka muzyczna 20.15 Koncert symfoniczny W przerwie Dziennik wieczorny oraz „Jak pracujemy w Polsce" 22.30 Recytacje poezyj.

Sobota, dnia 2 marca 1935 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Koncert 13.00 Dziennik południowy 15.45 Najnowsze nagrania na płytach 16.30 „Teatr Wyobraźni" 17.00 Transmisja Nabożeństwa z Ostrej Bramy 17.50 „Pani pisze listy" — (Odczyt z cyklu „Dom i rodzina" 18.00 „Przegląd prasy rolniczej" 18.15 Muzyka salonowa 18.45 „Z badań nad mechaniką rozwoju" reportaż 19.00 Polka za polką... 19.20 „Przemyśl — starszy brat Lwowa" — (Odczyt z cyklu „Miasta i miasteczka polskie" 19.30 Trio na obój, fagot i fortepian 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 Wesoła audycja muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20,55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 Koncert symfoniczny 22.00 „Trzydzieści trzy lat na fotelu recenzenta" — szkic liter. wygł. p. Henryk Zbierzchowski 22.30 Muzyka taneczna 23.05 „Loża Szyderców" 23.35 Muzyka taneczna.

CHWILA ZASTANOWIENIA

ZADANIE SYLABOWE

Cza — y — ne — tro — a — fekt — pol — or — sa — rań — si — e — la — ne — ra — fur — bo — no — sor — na — lo — pe — wać — zde.

Z powyższych sylab utworzyć 14 wyrazów, których pierwsze litery, czytane pionowo, dadzą imię i nazwisko znanego muzyka polskiego.

Wyrazy pomocnicze: 1. Sztuka sceniczna. 2. histor. miejscowość z czasów potyczek legjon 3. Spółgłoska. 4. Asceta mahometański. 5. Styl pierw. cesarstwa we Francji. 6. Zwierzę północne. 7. Spółgłoska. 8. Gatunek ogórków 9. Słynna akademja w Paryżu. 10. In. zmieszać, zakłopotać. 11. Ochładzający napój. 12. Imię żeńskie. 13. Wrażenie. 14. Miasto we Włoszech

ZAGADKA

Gdzie jest morze bez wody,
a miasta bez domów?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci dwóch książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dnia 1 marca b. r.

Rozwiązanie z numeru 6 „Moich Powieści": przekładanka: 1. Okocim 2. Faraon 3. Trójca 4. Prezes 5. Oprawa 6. Ołtarz 7. Wiosna 8. Wiśnia 9. Kielce 10. Cieśla 11. Łowicz 12. Bogini. — Całość: *Moje Powieści*. Kalambury: 1. Krasnystaw 2. Kawa.

Trafne rozwiązania nadesłali: Henryk Silczyński, Warszawa — Czesław Kozłowski, Warszawa — Ina Ślązakówna, Dąbrowa Górnicza — Jerzy Wolski, Tuchola — Irena Bąkówna, Pińsk.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Czesławowi Kozłowskiemu, Warszawa, ul. Wierzbowa 6 i Irenie Bąkównie z Pińska.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

25)

Raz jeszcze utkwiła Anielcia wzrok swój w nieszczęśliwą, — miała takie uczucie, jakby jej, tej jedynej istoty, którą w tym domu przyjaciółką zwała, — widzieć więcej nie miała, jakby chciała raz jeszcze, po raz ostatni wdrożyć sobie na zawsze jej obraz.

Cicho jak przyszła, oddaliła się też Anielcia idąc bez szelestu poprzed łóżka chorych; po większej części spali, a których sen nie zmorzył i tak mieli duszę chorobą uśpioną.

Zdrady z tej strony obawiać się więc nie potrzebowała.

Powróciła do swej celi. Na drodze nie spotkała nikogo.

Zegarka wprawdzie nie miała, mniej więcej jednak miarkować mogła, że się ma ku dziewiątej godzinie; przez okno bowiem widać było mnóstwo świateł padających z okien w mieście, które zwykle gasły po większej części około dziesiątej. Na razie więc na czekanie była skazana, — minuty wlokły się jedna po drugiej żółwim krokiem, — stała tak przy oknie i patrzała przez nie, przyciskając do krat gorące czoło. Wrażenia dziś doznane wywołały u niej gorączkę.

Wkońcu światła pogasły, — musiała więc być dziesiąta. Jeszcze godzina, — a potem, — działać mogła.

Zaczęła liczyć minuty, by się nie omylić. Chodziła po celi, unikając wszelkiego szelestu.

W ten sposób naliczyła pięćdziesiąt razy po sześćdziesiąt sekund, była przekonana, że tylko dziesięć minut do jedynastej brakuje, — chwila stanowcza się zbliża.

Rozwarła nieco drzwi swojej celi, by ewentualny hałas lub poruszenie w domu móc zauważyć. Nie długo czekała, — dały się słyszeć szybkie kroki na korytarzu.

„To niezawodnie“, — pomyślała, — „dozorczyni, która spieszyła do doktora Morizano z wieścią, że stan Edyty się pogorszył.“

Rzeczywiście, w następnej chwili dało się słyszeć pukanie do drzwi gabinetu doktora, — następnie otwieranie drzwi i głos nadzorczyni, wołającej:

„Angielka umiera, prosi pana doktora, — może pan doktor zechce się ją jeszcze o co spytać, — inaczej byłabym nie przychodziła.“

„Dobrze, za kilka minut będę w sali“, odpowiedział doktor.

„Czy nie dać jej czego, panie doktorze“, pytała kobieta, „ona żąda, — skarży się, że ją ogień wewnątrz trawi.“

„Co tam na niej zależy“, słychać było głos niegodziwca, — „tak mało płacą za nią, — wyciągnąć poduszkę z pod głowy, tem prędzej umrze.“

„Łotr przeklęty“, mówiła Anielcia z oburzeniem sama do siebie, — „poczekaj, będziesz ty kiedyś odpowiadał za to przed sędzią niebieskim, jak sprawowałeś urząd swój tu na ziemi.“

„Ja tam zaraz przyjdę“, wołał Morizano, „przekonam się tylko, czy rzeczywiście już nie żyje.“

„Żyje i żyć będzie długo jeszcze“, szeptała do siebie Anielcia, — „to gra tylko ze śmiercią, którą mnie i Edycie Bóg przebaczy, — bo jest środkiem do szlachetnego celu.“

Stojąc na progu, naprzód pochylona, nadsłuchiwała Anielcia.

Słyszała, jak nadzorczyni wracała do sali. Następnie kilka minut głębokiej ciszy, nagle słyszy otwieranie drzwi u doktora i charakterystyczny chód jego przez korytarz; teraz albo nigdy, — niewiele tylko minut czasu miała prawdopodobnie.

Pantofelki zdjęła już była przedtem, — w pończochach tylko zbiegła bez szelestu po schodach, — jedno jeszcze spojrzenie na zamykające się za doktorem drzwi sali chorych, i skręciwszy poza wielki, żelazny filar schodów, do góry, — znalazła się u drzwi gabinetu doktora.

Obawa, że może będą na klucz zamknięte, okazała się płonną. Bogu dzięki, były tylko przyparte. Widocznie nie obawiał się Morizano, by kto niepowołany mógł wtargnąć w nocy do jego mieszkania.

W następnej chwili znajdowała się więc w jego gabinecie. Lampa paliła się — na biurku listy i papiery, — widocznie nadzorczyni przerwała doktora w pracy, — zostawił wszystko, jak leżało.

Przysunęła się do biurka, — podniosła papiery, — szukała pod nimi, ręce drżały, — wzrok trwożnie ku drzwiom wchodowym zwrócony, — pomna, że w tej chwili życie jej wisi na włosku. Bo gdyby ją przydybał doktór na tej czynności, domyśliłby się, że go podsłuchała, — a wtenczas, — onby ją zabił, — że od tego człowieka łaski ani litości spodziewać się nie mogła, o tem wiedziała na pewno.

„Flaszeczka“, szeptała do siebie, „gdzie ta flaszeczka z trucizną, którą łotry przeznaczyli dla Elzy? — Gdzie on ją ukrył? — Boże święty, miałżeby ją mieć z sobą w kieszeni? Liczyłam z pewnością na to, że ją znajdę na biurku, — a teraz? Boże! — Ja jej nie znajdę, zgubiona ona i zgubiony on, — mój Kazimierz!“

I nie było jej na biurku; rozpacz owładnęła Anielcią, już miała, złamana na duszy, wracać do swej celi, gdy w tem wzrok jej padł na postument z kości słoniowej, stojący tuż obok.

Na tym postumencie był biust Eskulapa. Oczodoły, wychudła, zapadnięta twarz wstrzymała jej wzrok na chwilę.

Za biustem coś połyskuje, — światło lampy pada właśnie na jakiś mały połyskujący przedmiot, — usta Anielci omal nie wydały krzyku, pohamowała się całą siłą woli, — tak to flaszeczka, którą doktór Alfredowi obiecał. —

Wyciągnęła rękę, — już ją ma w swojem posiadaniu.

Zawartość jej miała wygląd całkiem niewinny, płyn bezbarwny, jak woda, a jednak, co za straszny skutek dla tego, ktoby tylko kilka kropel z tego zażył!

Chwilę tak trzymała Anielcia flaszeczkę z trucizną w ręce i patrzyła na nią z rozszerzonemi źrenicami, — następnie przycisnęła ją do piersi jakby wdzięcznością przejęta dla Stwórcy, że jej pozwolił złe odmienić. Rzuciła się do stolika, znajdującego się w drugim końcu pokoju.

Na nim była karafka z wodą w pośród sześciu szklanek.

Wyciągnęła z flaszeczki korek, jednym pospiesznym ruchem ręki wylała zawartość za sofę, przypierającą do ściany, — i jak tylko można było najprędzej napełniła ją wodą w tej samej ilości, ile trucizny w niej było.

Następnie napowrót zakorkowała i postawiła na postumencie na tem samem miejscu, gdzie przedtem się znajdowała.

Westchnienie głębokie wyrwało się z jej dziewiczej piersi.

„Dzięki ci Boże! Udało się, — przynajmniej, co było najstraszniejszego, odwróconem zostało, — Elza Roden nie padnie teraz ofiarą rudego łotra, — nie zamilknie, mówić będzie, — a pierwsze słowo, którem przemówi, oznaczać będzie dla Kazimierza oswobodzenie od ciężkiego zarzutu, odzyskanie honoru i wolności!“

I wybiegła z pokoju, — biegła jakby ją furje ścigały.

W chwili, gdy wstępywała na schody, prowadzące do jej celi, — na korytarzu, — rozległy się krzyki szalone ze sali kobiet.

Anielcia stanęła jak skamieniała, ciężko oddychając oparła się o żelazny filar schodów, — coś strasznego musiało się tam stać, — po głosach poznawała, że te wszystkie chore, które przy jej odejściu spały, wyły niemal zawodząc.

„Nie żyje“, słychać było głosy, — „Angielka nie żyje“!

„Milczeć!“ ozwał się głos doktora, „do swego łóżka każda, — co was to obchodzi, — to koniec was wszystkich — no! Nadzorczynie, dalejże, zanieście ciało Angielki do trupiarni!“

Anielcia krzyknęła; — igraszka ze śmiercią zamieniła się w prawdę, Edyta nie udawała napadu, naprawdę go nieszczęśliwa dostała, — i ten położył kres jej życiu, — umarła!

31.

Jedyna droga wyjścia

Anielcia nie zastanawiała się, rzuciła się naprzód biegnąc do sali, — ona zmarłą musiała jeszcze raz obaczyć, — ręce przyjaciółki w swych dłoniach choć na chwilę jeszcze potrzymać.

Miała uczucie, jak gdyby Edyta dla niej i za nią umarła.

Gdy weszła do sali, oczom jej przedstawił się straszny, nerwami, ba całem jestestwem wstrząsający widok.

Sala była mdło tylko oświecona lampkami okratowanemi, zawieszonemi u stropu, — blade ich światło padało na łóżka, na których siedziały chore, — większa ich część z twarzami blademi, na których strach powykrzywianymi rysami się zaznaczył. Niektóre z nich pospadały się od swoich łóżek, — ale wzrok wszystkich skierowany był na łóżko, przy którem stał doktór, otoczony dozorczyniami.

A z tego łóżka po drugiej stronie zwisało bezduszne, nieżywe ciało Edyty; nieszczęśliwa w czasie agonji wychylić się musiała i tak na pół z łóżka wypadła. Wspaniałe, długie, jedwabne włosy, tak bujne, że całą postać jak płaszczem osłonićby były mogły, rozpościerały się na podłodze. A z nich wyglądała blada, wykrzywiona twarz zmarłej. Koszula na piersiach zlana krwią, — krwią wytoczoną atakiem ze zbolałej piersi, — ręce wykrzywione, oczy otwarte szeroko, szkliste, zwrócone ku powale.

„Koniec"! brzmiały jej w uszach przy wejściu słowa doktora, „gwałtowny wybuch krwi dobił ją, — dalej więc, zanieście ją do trupiarni!"

„Chwileczkę tylko, panie doktorze", zawołała Anielcia, stanąwszy u łoża swej zmarłej przyjaciółki, „pozwól pożegnać mi się z nią, — ona mi tak drogą była".

Morizano nie miał odwagi odmówić życzeniu Anielci.

Lubieżnym wzrokiem śledził linje kształtów dziewiczego jej ciała tem ponętniej odbijającego od wychudłej, chorobą strawionej, zmarłej suchotnicy.

Anielcia uklękła obok zmarłej, — wzięła zwisającą lekko w swe ramiona, — podniosła na łóżko i ułożyła starannie na poduszkach.

„Śpij słodko, śpij Edyto!" szeptała, jak gdyby nie chciała, by ją kto słyszał prócz zmarłej, „przyszło nakoniec dla ciebie wybawienie, którego pragnęłaś, — w tej chwili wolną jesteś, — dusza twa przed tronem Najwyższego! — Co tu pozostało, proch tylko i w proch się zamieni, — tym pocałunkiem wyciśniętym na twem czole żegnam cię. Niech ci się zdaje, że cię twa daleka ojczyzna nim żegna, że to pocałunek ostatni twej matki. — A gdy twe zwłoki pogrzebią na tej obcej ziemi, która ci była prawdziwą macochą, ja modlić się będę za ciebie, — i błagać w modlitwie, byś tam w górze doznała tego spokoju, któregoś tu na ziemi nie zaznała".

Łzy rozrzewnienia głos zatamowały, — powiodła ręką raz jeszcze po jedwabnych włosach Edyty i cofnęła się od łóżka.

W tej chwili rzuciły się, — jak hjeny na swą ofiarę, — dozorczynie na zwłoki, — ściągnęły je brutalnie z posłania, — zawinęły w grube płótno, które tymczasem przyniesiono i wyniosły ze sali.

Chorzy podnieśli okropny krzyk, — cała ta scena zdawała się robić na nich straszne wrażenie. Natychmiast rozległ się rozkazujący głos doktora Morizano:

„Do łóżek, bestje, — niech mi się żadna nie ruszy, — niezadługo powędrujecie także, jak ta teraz do piwnicy, cicho mi, powiadam!"

„Strzeż się tylko sam, byś nie powędrował do piwnicy," szepnęła do siebie Anielcia, „byś się nie stał wnet ofiarą śmierci! Jeżeli mi się plany moje udadzą, jeżeli dom ten będę mogła jutro opuścić, wtedy —"

Nie dokończyła swych myśli, — zadrżała, spostrzegłszy wzrok lubieżny doktora na siebie zwrócony bezwstydnie.

Przestraszona skierowała się do ucieczki, ale doktór podążył za nią tuż w ślad, — nie widziała go, ale słyszała



Studenci francuscy zorganizowali szereg demonstracyj, skierowanych przeciwko cudzoziemcom, studjującym we Francji. Na zdjęciu z lewej widzimy jak cudzoziemka-studentka nie jest dopuszczana do gmachu uniwersyteckiego, z prawej — grupa strejkujących studentów przed uniwersytetem. Na transparencie figuruje napis: „Przeciwko obcej inwazji. Strejkujcie".

chód jego charakterystyczny i po nim go poznawała.

Niewymowną trwogą przejęta, przebiegłszy korytarz dopadła schodów, które do jej celi prowadziły, — a Morizano ciągle tuż za nią.

„Anielciu, — moja Anielciu kochana", wołał zadyszanym głosem, „poczekaj choć chwilę, — ja mam coś z tobą do pomówienia".

Anielcia udaje, że nie słyszy, biegnie po schodach, ale umknąć mu nie zdoła.

Gdyby się jej tylko udało, dostać się do swojej celi, — tam u drzwi jest rygiel, — w nim jej zbawienie i cała nadzieja.

„Stójże nareszcie", wołał z niecierpliwością w głosie Morizano. „Czegóż tak uciekasz przedemną?"

Ale Anielcia kroków swoich nie wstrzymała. Nawet, gdyby wiedziała, że doktór ma broń nabitą i w nią celuje, — zginęłaby raczej, niżby się miała dostać w ręce jego, gdzie ze wzroku jego samego wyczytać było można, jaka nim zwierzęca namiętność owładnęła.

Nareszcie znalazła się na górnem piętrze, — jeszcze tylko kilka kroków a będzie u drzwi swojej celi, które jednem pchnięciem otworzy.

W tem, — ach! W ciemności nie spostrzegła cebrzyka z wodą, który nadzorczyni podstawiła, — potknęła się, i z krzykiem upadła.

Chciała się podnieść, — lecz już i w ramionach doktora się znalazła, który ściskał ją niemi jak żelaznymi kleszczami.

„Słuchaj, dziewczyno", ozwał się, „słuchaj, moja droga, wiesz przecież, że twoim drugim ojcem jestem, — bądź rozsądną przecie, — użycz mi godzinki rozmowy i twego towarzystwa. — Zabawimy się troszkę, Anielciu, — może się napijesz czego, — mówiłem ci przecież, że więźniem żadnym w tym zakładzie nie jesteś, tylko możesz robić wszystko, co ci się żywnie podoba. Mam prawo przecież domagać się za to z twej strony przynajmniej jakiegoś uznania, — nieprawdaż, Anielciu, maszże ty choć trochę sympatji dla mnie, — kochasz mnie?"

„Sympatję, miłość!?"

Toż ona go nienawidziła jak gada obrzydliwego, — nienawidziła i pogardzała nim, — ale w tej samej chwili, kiedy mu to już powiedzieć chciała, przyszło jej na myśl, że toby jej zgubą była, że onby ją do najciemniejszego lochu w tym domu zamknąć kazał, do jednej z tych strasznych separatek, które się pod podłogą tego przeklętego budynku znajdowały, — a z tamtąd uciec by nie mogła, — uciec i dostarczyć przed sądem dowodu niewinności Kazimierza.

Nie, — tego uniknąć trzeba było za każdą cenę. —

Anielcia przezwyciężyła się poraz pierwszy w życiu i próbowała zagrać komedję. Po raz pierwszy, odkąd myśleć zaczęła, jak daleko pamięć w przeszłość sięgnąć mogła, nie powiedziała nigdy coś wprost przeciwnego od tego, co czuła i myślała. Po raz pierwszy przeszło kłamstwo przez jej usta.

Podniosła się, odsunęła z lekka doktora od siebie, mówiąc:

„To prawda, panie doktorze, pan mi jakby drugim ojcem, — dlatego poczuwam się wobec pana do nadzwyczajnej wdzięczności, — pan losem moim się zajął, udzielił schronienia i dał spokój w swym domu, — a niczego więcej nie pragnę, jak tego".

Słowa te połechtały przyjemnie doktora, — z uśmiechem radosnym patrzył na tę śliczną, czarującą dziewczynę.

Zresztą był on znakomitym znawcą ludzi, podejrzliwy aż do przesady, miał się zawsze na ostrożności, by nie zostać oszukanym, wierzył więc mało komu a właściwie nie wierzył prawie nikomu. W tej chwili jednak, namiętność go oślepiła, — ta urocza, niewinna twarzyczka kłamać nie mogła, — nie umiała, — nie,

w prawdziwość słów Anielci nie wierzyć, nie przyszło staremu łotrowi na wet do głowy.

To prawda, — niewinność zmoże nawet najprzebieglejszego łotra, — uśpi podejrzenie w jego duszy, — i cała chytrość rozbije się o granitową skałę cnoty.

„Anielciu, pokochasz mię troszkę?“ pytał doktor, głaskając drżącą ręką dziewczynę po pełnem — o aksamitnem dotknięciu — ramieniu, „nie pożałujesz tego, będziesz opływać we wszystko a przyjdzie może i godzina, że tu będziesz panią, przed którą się wszyscy korzyć będą?“

„Panie doktorze, proszę o chwilkę, — niech pan mię posłucha“, rzekła, „śmierć biednej Edyty wstrząsnęła mną do głębi, — proszę o trzy dni czasu, — za trzy dni dam panu odpowiedź, a jak ona wypadnie, nie potrzebuję zdaje się, bliżej określać. Ja należę i tak już do pana, — bawię w pańskim domu, nie widzę żadnego innego mężczyzny. — Pan jesteś jedynym mężczyzną na ziemi, do którego mam zaufanie.“

W oczach doktora zabłysła radość, — tryumfował, zdawało mu się, że jest u celu.

„Trzy dni!“

Namiętność swoją tak długo poskramiał i hamował, że trzy dni poczekaćby jeszcze można, — a i warto, — za trzy dni to śliczne dziewczę, pełne urody, stojące przed nim, rzuci mu się samo, z własnej woli, nieprzymuszane na szyję, przyciśnie do piersi.

„Trzy dni chcesz, Anielciu?“ odpowiedział Morizano, „dobrze, dziecko, jam nie młokos zakochany, jam dojrzały mężczyzna, który szczęścia swego chce ze świadomością używać. Dobrze więc, masz trzy dni, — zdecyduj się do tego czasu, czy się zgadzasz być moją, — w przeciwnym razie czułbym się zmuszonym, choćby mi to bardzo przykro było, obchodzić się z tobą, jak z innemi pupilkami zakładu. Zastanów się więc dobrze nad tem, Anielciu.“

Raz jeszcze wzrokiem objął jej kształtną kibić, obrócił się i spiesznym krokiem zszedł po schodach.

A Anielcia? — Wpadła do swej celi, bez powstrzymać już nie mogła, — rumieniec wstydu oblał jej oblicze, — pierś jej dziewicza wznosiła się i opadała.

Wstyd ją ogarnął, pogardzała samą sobą, że przed chwilą taką niecną, jej samej niegodną komedję odegrała, — ale inaczej nie mogła, — to był ostatni, rozpaczliwy środek, który ją miał przed straszną katastrofą uchronić.

Zamknąwszy drzwi, zasunęła rygiel żelazny, — następnie upadła przed łóżkiem na kolana i dziękowała Bogu za wyratowanie z nieszczęścia.

Wyratowanie? — Tak, była uratowaną, jeżeli udałoby się jej w przeciągu trzech dni uciec!

A gdyby się nie udało, — o, wtenczas niezawodnie padłaby ofiarą, — wtedy niechybnie byłoby po niej, zawleczonoby ją w ten sam brutalny sposób jak Edytę do trupiarni.

Bo Anielcia była stanowczo zdecydowaną w razie użycia gwałtu przez doktora, gdyby shańbioną została, ani chwili dłużej nie żyć. Raczej śmierć przez



Niemiecka biegaczka Marja Dollinger i biegacz niemiecki Fritz Hendrix zaręczyli się. Będzie to najszybsza para małżeńska.

powieszenie na żelaznych sztabach u okna, — niż zostać kochanką doktora Morizano.

Myśl ta jednak przez głowę tylko przebiegła, — bo dłużej nad tą ewentualnością się nie zastanawiała. Czuła, że w danym razie tak a nie inaczejby postąpiła, ale możliwości tego przypadku nie przypuszczała, — tak była przekonaną, że ucieknie. A nadzieję swoją oparła na nikczemnej zresztą istocie, ale, niezbadane są wyroki nieba. Opatrzność posługuje się czasem w wykonaniu swych zamiarów i najnędzniejszemi kreaturami. W tym razie osobą taką według nadziei Anielci była — Gilowa!

Na drugi dzień, zaraz zrana i to bardzo wcześnie, weszła Anielcia do gabinetu doktora.

Wejście Anielci było przyjemną niespodzianką dla doktora, siedzącego właśnie przy śniadaniu. Był najmocniej przekonany, że przyszła mu oznajmić zapowiedzianą decyzję.

„Przepraszam, ja na słóweczko tylko przyszłam“, rzekła Anielcia, stając u drzwi, — „przyszłam się tylko poskarżyć.“

„Poskarżyć?“ pomyślał doktor, „to znakomicie — ona czuje się już być panią tu w domu. Tylko tak dalej, moja gołąbko, lecisz mi sama w sieć!“

„Poskarżyć się?“ zawołał teraz na głos, „a któżby tu śmiał w moim zakładzie ci co złego zrobić? Wydałem przecież jak najsurowszy i najwyraźniejszy rozkaz, by się z tobą jak najgrzeczniej obchodzono i szanowano. — Miałażby która z dozorczyń —“

„O nie, nie o te tu chodzi,“ rzekła Anielcia z dobrze udaną surową miną, bo nawet swe piękne, białe czoło zmarszczyła, „ja muszę się użalić na kobietę, która co tygodnia czyści moją celę.“

„Co to za kobieta?“ zapytał badawczo Morizano, chociaż bardzo dobrze wiedział, o kim tu mowa.

„Nie znam jej nazwiska, bom nigdy z nią jeszcze ani słowa nie zamieniła, — ona też nie próbowała ze mną nawiązać rozmowę. To taka stara, brzydka kobieta, — ja jej też nie chcę pozbawić chleba, uskarżając się na nią.“

„No dobrze, — chciałbym wiedzieć, co ci też Gilowa zrobiła?

„A! Gilowa się nazywa? Zbrodni wprawdzie nie popełniła, — ale w celce mojej zanadto powierzchownie porządki porobiła, — małe jest moje mieszkanko, ale właśnie dlatego chcę, żeby wzorowy porządek w niem panował. Prosiłabym więc, by pan doktor zechciał kazać polecić jej, żeby dzisiaj jeszcze raz przyszła, — pan nie weźmie mi tego za złe, — nieprawdaż?“

„Ależ i owszem, z największą przyjemnością, — cieszy mię bardzo twoja otwartość, moja Anielciu, wobec mnie, — w tej chwili każę posłać po nią!“

„Zresztą niczego mi nie brak.“

Z temi słowy wysunęła się z gabinetu, skracając rozmowę, do której dłuższego nawiązania Morizano widoczną zdradzał ochotę, — i powróciła do swojej celi.

Z bijącem sercem oczekiwała chwili, kiedy przed Gilową drzwi się otworzą.

Ale i południe nadeszło, a jej jak niema, tak niema, — nareszcie, gdy Anielcia właśnie skromny obiad, który jej przyniesiono, spożyła, — usłyszała szybko zbliżające się kroki. Drzwi się otworzyły i na progu, zaczerwieniona, z oburzeniem widocznem na twarzy, stanęła Gilowa.

„Tegom się po panience nie spodziewała“, ręce na biodrach oparłszy, rzekła, „tak mię oczernić przed doktorem, że mi przed chwilą na korytarzu omal głowy nie zerwał, — i to za co? Za porządki, — cóż mam więcej robić, jak zrobiłam, porządek przecież jest, a że z celi salonu zrobić nie mogę, to nie moja wina.“

Anielcia chciała przerwać potok jej słów, chciała jej szepnąć, że to tylko podstęp z jej strony, ale Gilowa raz popuściwszy wodze swemu gadulstwu nie dawała się zbić z tropu.

„Naturalnie, — to mi nagroda, — jak się do kogo ma serce, chciałoby się jak najlepiej, — w uznanie doznaje się czarnej niewdzięczności. No, nic dziwnego, wróble na dachu już sobie opowiadają, — nie mówiąc tu w całym domu, — pewnie, jak się ma widoki i jest na najlepszej drodze zostać panią doktorową —“

„Na Boga, cicho! Tylko nie to, — Gilowo! Przysięgam, żem cię wezwała, by powiedzieć, żem się zdecydowała stąd uciec.“

W okamgnieniu przybrała twarz Gilowej inny zupełnie wyraz. Usta i oczy otworzyła szeroko, patrząc na Anielcię, jakby jej dobrze nie zrozumiała i tak gwałtownej zmiany w Anielci pojąć nie mogła, — po chwili jednak przyszedłszy do siebie ze zdziwienia, zatarła ręce, zaśmiała się i z tryumfującą miną zawołała:

„Ktoby to był powiedział! No, no! więc panienka mię tu zawołała, by figla staremu wypłatać. A to pyszne! No, przecież nabrała panienka rozumu.“

„Cicho, nie tak głośno, mógłby nas kto podsłuchać!“



W ubiegłym tygodniu we Watykanie odbył się uroczysty obchód 13-lecia koronacji Ojca św. Parafjalne uroczystości papieskie odbyły się we wszystkich miejscowościach Polski w dniu 17 lutego r. b.

„Eh! Ktoby tam miał słuchać, — ja panience powiadam, że doktor taki zakochany! — Aniby mu na myśl nie przyszło, że panienka ma takie plany ucieczki, — ale prędko teraz, — teraz chodzi o to, jak się zabrać do tego, bo bardzo łatwo to nie pójdzie."

„To pewnie," westchnęła Anielcia, „zwątpienie mnie niemal ogarnia, czy to się nam wogóle uda. Ale ja na was, Gilowo, liczę. Nie macie też żadnego planu, — wczoraj dopiero mówiliście przecież z taką stanowczością o tem, że mię z tego domu wyprowadzić chcecie."

„Eh, mój Boże, mówi się niejedno", odparła stara, „plan byłby może, — ale do niego trzeba wiele odwagi i trochę szczęścia."

„Mówcież więc, — a ja wam przysięgam, że nie pozostaniecie bez nagrody, jeżeli się tylko nam uda. Ja mam przyjaciół, którzy wam sowicie odpłacą, jeśli się za mną ujmiecie."

„To najmniejsza", przerwała Gilowa, „co do wynagrodzenia — bylebym wszystkiego tak pewna była, — o to się nie boję, — pieniądze już ja dostanę."

Anielcia nie zauważyła tego chytrego, coś kociego w sobie mającego spojrzenia, które na nią kobieta rzuciła, jej dusza, myśli, całe jestestwo zajmowała tylko myśl o wolności, powrocie do świata, by Kazimierza uwolnić a Elzę przed Alfredem przestrzec.

„Ma panienka odwagę?" zapytała nagle Gilowa, dziwnym wzrokiem obejmując niewinne dziewczę.

„Odwagę czy mam?" Gdybym miała nawet za cenę życia odzyskać wolność, tobym się ani na chwilę nie namyślała! Dostarczcie mi tylko sznura i piły do przepaści, znajdującej się pod mojem oknem."

„No, to byłoby najbardziej niedorzeczne, coby panienka zrobiła. Nie mówiąc już o tem, [illegible] panienkę siły opuściły i śmierć niezawodna czekała, ogród, znajdujący się pod oknem, jest zawsze silnie strzeżony. Toby rzeczywiście nadzwyczajny był przypadek, gdyby się komu z ogrodu umknąć udało. — Ja mam inny plan, — ale, jak wspomniałam, do niego trzeba odwagi, — silnego postanowienia a przedewszystkiem zaufania do mnie."

„Mówcie więc już raz", rzekła na to Anielcia, „ja zrobię wszystko, czego tylko chcecie, — przysięgam!"

Po małej pauzie, w czasie której z flegmą wydobyła z kieszeni tabakierkę i szczyptę tabaki zażyła, odezwała się Gilowa:

„Panienko, czy nie umarła dzisiaj w nocy w sali kobiet która?"

„A umarła", brzmiała Anielci odpowiedź, w której się litość przebijała, „biedna Edyta została uwolnioną od swych cierpień."

„I doktor kazał jej zwłoki znieść do trupiarni?"

„I to zaraz, gdy zaledwie tylko oczy zamknęła, ściągnięto ją z pościeli i zniesiono do tej strasznej piwnicy, gdzie zwłoki umarłych w tym domu, przechowują do chwili pogrzebu."

„Jutro więc będzie pogrzeb tej, — jakto panienka powiedziała, — a prawda, Edyty?"

„Tego nie wiem, — ale prawdopodobnie nie będzie doktor dłużej w domu zwłok trzymać!"

„A wie panienka, jak się to odbywa?"

„Nie, nie widziałam jeszcze pogrzebu tu w zakładzie!"

„Pogrzeb? No, no, ładny mi pogrzeb, — proszę mi się tylko przypatrzyć tak, jak tu stoję, — ja sama jestem grabarzem. — Doktor Morizano wielkich ceremonji nie lubi, — jak która tu z kobiet więc umrze, ja sama wkładam ją do trumny, trumnę ustawia się na taczki, — i jazda na cmentarz biedaków; tam ją oddaję zarządcy; do niego już reszta należy."

„Ale powiedzcie mi, poco wy mnie to wszystko opowiadacie?" zawołała Anielcia.

„Nie pojmuje panienka jeszcze tego, — zmarła Edyta pomoże panience do uzyskania wolności."

„Gdyby żyła i to w jej mocy było, zrobiłaby to niechybnie, ale tak —"

„Widzę, że z panienką trzeba mówić jeszcze wyraźniej: zmarła będzie tak dobra i ustąpi panience swojej trumny."

Anielcia cofnęła się z przerażenia, — mrowie ją obsiadło, już miała dać odmowną odpowiedź, — w tem stara jej szepnęła:

„To jedyna droga, — innego środka niema."

„Ale co z biedną Edytą", zawołała Anielcia, „co się z nią stanie, — co będzie z jej zwłokami?"

„Ukryjemy w trupiarni."

„A nie będzie zamknięta, — będę mogła otworzyć drzwi?"

„Postaram się o to, by drzwi były tylko przyparte, — ja przecież sama zniosę trumnę".

Wdrożywszy jeszcze Anielci w pamięć by mniej więcej na godzinę przed zmrokiem przyszła do trupiarni i na nią czekała, zwróciła się Gilowa ku drzwiom. Raz jeszcze obejrzała się za Anielcią, — we wzroku, którym młodzieńcze pelne siły i życia kształty ciała Anielci objęła, przebijała się chciwość, coś w tym rodzaju, jak handlarz spogląda na konia, którego chce sprzedać i to dobrze sprzedać.

Po wyjściu Gilowej Anielcia zrazu nie mogła pozbierać myśli, — groza bliskiej sytuacji, nadzieja uwolnienia rabowały spokój, — a tego było jej teraz więcej może jak kiedy potrzeba. — W gorzkich chwilach, — a miała ich dosyć, — pocieszycielką jej była gitara. — I teraz wzięła ją do rąk, — ją, co tak często boleści goiła, a rozszalałe huragany duszy aksamitnymi tony łagodziła i uspokojała.

Palce przebiegły po strunach i rozległa się piosenka pełna nadziei.

Nagle melodja się zmieniła, — nadzieja ustąpiła smutkowi, — pieśń płynęła żalem i skarg, aż zamieniła się w chorał. I po pustej celi rozeszła się pieśń dźwięcznym głosem Anielci śpiewana:

„Kto się w opiekę odda Panu swemu,
A całem sercem szczerze ufa Jemu,
Śmiało rzec może, mam obrończę Boga,
Nie przyjdzie na mnie żaden strach ani trwoga".

32.

W trupiarni domu obłąkanych

Dnia następnego. Słońce miało się ku zachodowi, — jak kula olbrzymia kolor krwi staczało się zwolna śląc ostatnie promienie, — nito błyski gniewu.

Pod oknem celi Anielci szumiał i targał gałęziami drzew, wicher jesienny.

Drzewa ogrodu były z liści już niemal zupełnie ogołocone, — i kwiaty jesienne, czując dech zbliżającej się zimy kwitnąć przestały, — czerwonym astrom nawet zamarł uśmiech, — liście kwiatu opadły.

Anielcia stała na środku celi, — raz jeszcze oglądała się po raz ostatni po tej chłodnej izdebce, z którą tyle nieprzyjemnych wspomnień było związanych, — gdzie tyle się nacierpiała.

Teraz, gdy się z nią rozstawać miała, uczuła, jakby żal, — za tem życiem dotychczasowem, za tą izbą chyba nie — ale od tego rozstania się rozpoczynał się nowy zwrot w jej życiu. Więc to ten chyba, przed którym wahanie sercem owlada. Bądź co bądź wolną być musiała — nie dla siebie, bo czegoż od świata spodziewać się jeszcze mogła, — tego, czego żądała, — było tak mało, a i to za czarną kotarą niewiadomej przyszłości ukryte.

Ale Kazimierza musiała uratować, — wyswobodzić go z więzienia a zbrodniczym planom doktora i Alfreda Robbera kres położyć! Niewinność zagrożoną ocalić, — to był cel, który ją porywał i ciągnął na to rozhukane morze życia z jego zwodniczemi falami i ukrytemi mieliznami — podwodnymi skałami.

„Żegnaj mi więc moja celo, świadku tylu przebytych boleści, któraś tyle łez moich wylanych widziała“, szeptała dziewczyna, „obyś na przyszłość nie służyła za mieszkanie żadnej nieszczęśliwej, lecz jak cały ten zakład, lepszemu i szlachetniejszemu celowi. Opuszczam cię, — mam nadzieję, że nazawsze!“

Przystąpiła raz jeszcze do okna, u którego tak często stawała i w mroki nocy bezsennych spoglądała, — ostatni raz rzuciła wzrokiem na miasto, na niebios sklepienie nad niem, na ciągnącą się smugę drogi mlecznej, — i ogarnęła ją niewymowna tęsknota.

„Jak Bóg da, niebawem będę tam także na dole między ludźmi, — zniknął mi z przed oczu blade lica chorych, ich oczy zapadłe, z których szał przemawia.

„Panie na wysokiem Niebie, błagam cię, daj, by mi się plany moje udały, — nie dla siebie proszę, ale dla tych niewinnych! Jeśliże wolą Twoją, bym zginęła, daj mi przynajmniej śmierć łagodną i nie dozwól, bym cześć swoją kobiecą miała utracić prędzej jak życie!“

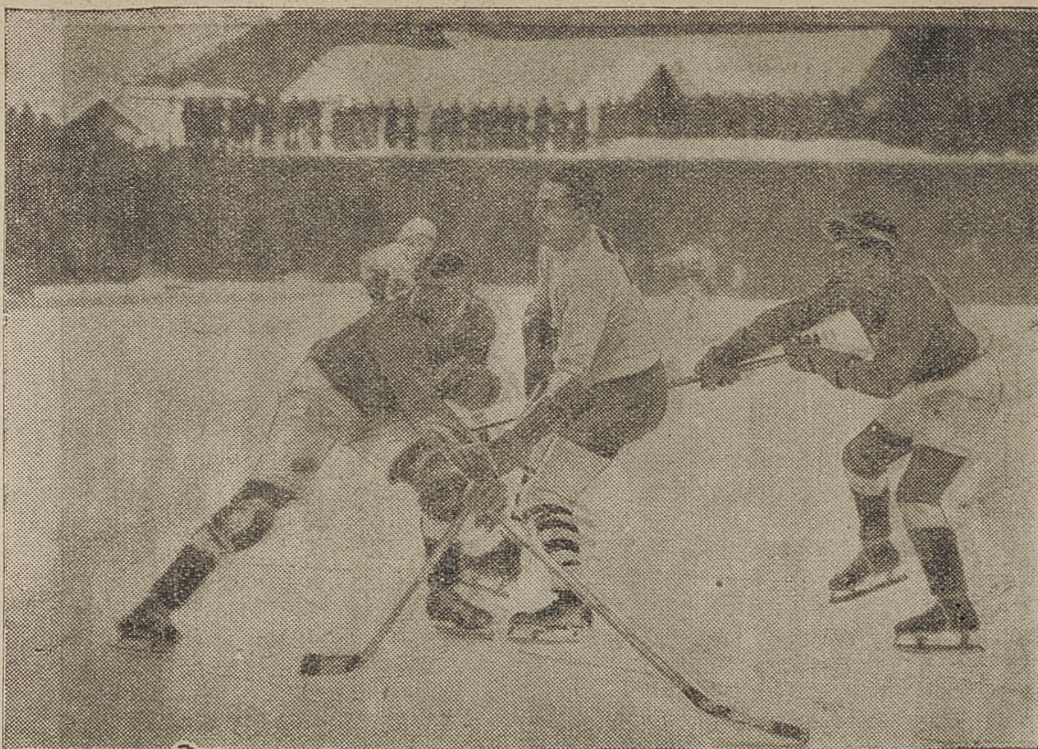
Bez namysłu zwróciła się teraz odważna dziewczyna ku drzwiom, — otwarła je pocichu, — w całym domu głęboka cisza. Lekko stąpając schodziła po schodach, — coraz niżej; tym razem prowadziła ją droga do piwnicy — trupiarni, tego strasznego lokalu, w którym musiała się ukrywać aż do nadejścia Gilowej.

Serce jej biło, jak młotem, — nogi odmawiały posługi niemal, gdy otworzywszy dębowe drzwi po drewnianych, strupieszałych schodach zstępowała.

Dech zgnilizny wionął ku niej, — powietrze piwniczne, zimne zaczęło ją obwiewać, — głęboka ciemność otoczyła.

Dotarła do żelaznych drzwi z krzyżem na biało pomalowanym. To drzwi trupiarni.

W ciemności nic widać nie było, słabe zarysy białego krzyża wybijały się z mroków, — krzyża, symbolu miłości i pobłażania. A tu w tem miejscu godło „memento mori“, przypomnienie znikomości wszystkiego, co ziemskie, przypomnienie śmierci i zaguby wszelakiego jestestwa.



Na ilustracji interesujący moment z meczu hokejowego Kanadyjczyków z reprezentacją szwajcarską, odbytego w ramach turnieju o mistrzostwo świata. Mecz zakończył się zwycięstwem Kanadyjczyków w stosunku 4:1.

Przejęta grozą zatoczyła się Anielcia w tył, — miała uczucie, jakby ją jakieś niewidome ręce powstrzymywały, jakby głos jakiś do niej przemawiał:

„Nie wchodź tam, gdzie śmierć króluje! — Zawróć się, nieszczęsna! — Co chcesz robić? Tu niema miejsca jeszcze dla ciebie, — tylko trupy przestępują te progi. — A kto się waży wtargnąć do królestwa śmierci, — śmierć go czeka!“

Młodość lgnie do życia, — ima się go całem swem jestestwem, — drży z trwogi przed chwilą, kiedy zdrowiem i życiem drgające ciało w nic obrócić się musi; wszystko się jej przecież uśmiecha; po kobiercu z nadziei utkanym stąpają jej kroki, — słońce na niebie, — gwiazdy bladolice, to wszystko bierze w swe posiadanie, — zdaje jej się, że to tylko dla niej stworzone, — dla niej, dla młodości!

I Anielcia czuła w tej chwili, że jest młodą, że ma jeszcze prawo do życia. Niepohamowana tęsknota za szczęściem ogarnęła jej duszę, — chciała żyć, — nie, nie, — w tym strasznym, okropnym domu kończyć dni swoich nie chciała. A tak mało jeszcze szczęścia na tej ziemi zaznała. Ten, który w jej latach dziecinnych był nauczycielem, drugim ojcem, opowiadał nieraz, jak pięknym jest ten świat, jak piękną jest ta ziemia, jak niebiosa rozsiały po niej dary swoje: radość, rozkoszą — miałażby ona jedna tylko być wykluczoną od stołu szczęścia, — miałażby ona jedna tylko być kopciuszkiem losu? Nie i jeszcze raz nie, — chce żyć, — żyć i być szczęśliwą, — walczyć o swój byt, — o rozkosze życia. Wyboru niema, — do trupiarni wejść musi, jeżeli się chce ucieczką ratować, — tylko dzisiaj nadarza się sposobność uciec doktorowi, wyrwać się z jego szponów. Jeżeli nie skorzysta z tej sposobności, za trzy dni będzie zapóźno, — padnie padnie ofiarą starego rozpustnika, a potem —

I zdawało się jej w tej chwili, jakby go widziała, — ze wzrokiem lubieżnie zwróconym na nią, — tym wzrokiem, co przeszywał, odzierał z szat i nagością się lubował, — z rękami wyciągniętemi ku niej szepcąc:

„Anielciu, chodź, — chodź do mnie!“

Wzdrygnęła się, — oparła o mur, przymknęła oczy, — drżenie grozy ogarnęło nią, — lecz nie, to mara tylko, to płód jej fantazji, która jej tak żywe podsuwa obrazy w szatę życia przybrane, — głową zrobiła ruch gwałtowny, jakby je do reszty odpędzić miała, — tak, była sama, sama jedna tylko w podziemiach zakładu, z martwemi zwłokami.

W następnej chwili śmiało pchnęła drzwi żelazne, przestąpiła próg i znalazła się w trupiarni.

Drżącą ręką pociągnęła za klamkę, — drzwi się zawarły, — zamek zaskoczył, — powrót niemożebny, droga odcięta, bo drzwi tylko z zewnątrz kluczem otworzyć teraz było można.

Anielcia stanęła przy drzwiach, — nie miała odwagi zrobić kroku naprzód, — ale gorączkowym wzrokiem starała się przeniknąć otaczające ją ciemności.

Zwolna przyzwyczaił się wzrok do nich — i na prymitywnie z drzewa wyciosanym tapczanie ujrzała w białe płótno obwiniętą postać. Jakby zimny prąd wiał od niej. Anielcia zadrżała.

Trup, — trup Edyty, — zwłoki nieszczęśliwej kobiety, którą umierającą widziała!

Ta myśl uspokoiła ją i dodała siły odporności na opadające ją uczucia trwogi. Toż to ta Edyta, która ją tak kochała, — która na krótko, na kilka godzin przed śmiercią tak d...

Czegóż miałaby jej się bać? — Gdyby, duch zmarłej krążył tu teraz nad nią, błogosławiłby jej i jej przedsięwzięciu, — on by jej dodał zachęty słowami:

„Odwagi! Czyń wszystko, byś się tylko z tego piekła wydostała!"

I nabrała odwagi, — przystąpiła do niskiego tapczanu, — pochyliła się nad zmarłą, — i spojrzała na oblicze. W tej chwili cofnęła się z krzykiem przestrachu i przerażenia, — otwarte, szklane oczy taki straszny miały wyraz, — jakby skargi, wyrzutów.

„O Boże, jak to straszne, jak straszną jest śmierć!" zawołała Anielcia, drżąc cała, i padła na kolana, „jak strasznie zmienia się człowiek, gdy śmierć swą zimną dłoń położy na jego twarzy. I ta biedna, u której nóg tu klęczę, była niegdyś piękną, — krew krążyła w jej żyłach, — miała serce pełne tęsknoty do miłości, — pulchnemi, pełnemi ramionami obejmowała i do serca przyciskała przedmiot swej miłości. A teraz, zimna, zdrętwiała, ze szklanemi oczami, ustami otwartemi, obwisłą szczęką leży tu, — obraz zniszczenia i rozkładu! — Czy na to przychodzi się na świat, aby kiedyś tak, — jak ta, być igraszką —"

Chwila refleksji minęła; zerwała się napowrót, przypomniawszy sobie, jak ją Gilowa napominała, ani minuty nie tracić i poczynić te straszne przygotowania.

A były one rzeczywiście straszne i nawet mężczyznę o silnych nerwach grozą przejmujące, — a cóż dopiero słabą dziewczynę, jaką była Anielcia. Do tego potrzeba było nadzwyczajnej energji, silnej duszy, — chyba że rozpacz do takiego czynu gnała.

A to ostatnie miało też u Anielci miejsce. Rozpacz ją gnała, — rozpacz sprawiła, że potrafiła się do tego stopnia przezwyciężyć, iż trupa Edyty nietylko się teraz dotknęła, ale zwolna zaczęła z niej zdejmować szaty pogrzebowe.

W zakładzie doktora Morizano nie robiono z tem sobie wprawdzie dużo zachodu. Za całe ubranie, w którem ją ziemi na wieczny spoczynek oddać miano, służył jedynie kawał białego płótna, w które ją owinięto, — i z tego płótna rozwijała ją teraz Anielcia, zwolna, pomału, jakby się bała schorowane jej ciało urazić.

Następnie zdjęła z siebie szare, zakładowe suknie, — przywdziała niemi zwłoki, a sama owinęła się białem, zdjętem z trupa płótnem.

Wszystkie jej nerwy drgały, — dreszcz przebiegł po jej ciele, — zrobiło się jej zimno. Ale Anielcia przysięgła sobie, że plan założony doprowadzi do skutku, za niewiedzieć jaką cenę.

Zwłoki Edyty na pół zaniosła, na pół zawlokła, — w ciemny kąt i ukryła w ciemności.

Następnie położyła się na miejsce zmarłej na tapczanie. — — —

Musiała teraz czekać, aż Gilowa z trumną przyjdzie. To mogło jeszcze potrwać z pół godziny! — Całe pół godziny w trupiarni, na tapczanie, owinięta w płótno, które przed chwilą członki ludzkich zwłok okrywało, — takiej pół godziny wydać się musiało młodej dziewczynie całą wiecznością.

A minuty płynęły ociężale, powoli, jakby minąć nigdy nie miały. Każda



Pisma czechosłowackie donoszą o ciekawej historji, jaka wydarzyła się we wsi Bohdan. Przed urzędem miejscowym zjawiło się niedawno trzech braci Homenów, którzy zgłosili, że są dziećmi nieślubnemi, gdyż „ojciec ich Dymitr Piotr Homen, który 47 lat temu ożenił się z 21-letnią Hafją Motejcuk jest... „kobietą". Po sprawdzeniu stanu rzeczy, okazało się, że rzeczywiście małżonek Hafji należy do jej płci. — Na zdjęciu widzimy rzekomego Dymitra Homen.

z nich przybierała w wyobraźni Anielci postać i twarz, — jedna za drugą stawały nad nią, zaglądały w jej oblicze i zdawały się mówić:

„Zostaniemy przy tobie, — nie oddalimy się stąd tak prędko, — tu tak rzadko widzimy żyjącą istotę, — mamy ciebie nareszcie i niepuścimy".

By czas skrócić, by te mary nocne od siebie odpędzić, skierowała Anielcia swe myśli na Kazimierza, kochanka swej duszy. Uprzytomniała sobie, że i on w tej chwili cierpić musi, tak jak ona, — że cierpienia jego większe są może jeszcze od jej cierpień, — bo był teraz zamknięty we więziennej celi, z brzemieniem ciężącego na nim, niesłusznego zarzutu.

W chwilach snu nigdy nie spoczywająca fantazja rozstawiała przed oczami jego ducha obraz, na którym się widział prowadzonym przez kata na śmierć, — na śmierć ze świadomością niewinności być prowadzonym, karanym za zbrodnię, której się nie popełniło, czyż może być coś straszniejszego?

„Nie, ty nie umrzesz, mój Kazimierzu", szeptała do siebie dziewczyna, której myśl o kochanku przynosiła zapomnienie o swej własnej sytuacji, „ja przyjdę do ciebie, ja ci drzwi więzienia otworzę, — ja ci przyniosę radosną nowinę, żeś wolny i zrehabilitowany w oczach świata! I otworzysz ramiona, przyciśniesz mię do swej męskiej piersi i nazwiesz znowu, jak dawniej, swoją ukochaną Anielcią. Bo to wszystko, co mi doktór mówił, to nikczemne i ohydne kłamstwo! Tyś nie bratem moim, — ja czuję, tyś mi czemś więcej, stokroć droższem, — kochankiem mego serca i duszy, mężem w przyszłości! — Kazimierzu, dumną jestem z tego, że za ciebie cierpieć mogę, — gdy myślę o tobie, to i śmierć nawet nie ma dla mnie nic strasznego".

Z zewnątrz dał się słyszeć zgrzyt wetkniętego klucza.

„Gilowa? — Boże wielki, jakby to był kto inny?"

Anielcię ogarnęła niewymowna trwoga. Ale już w następnej chwili odetchnęła głęboko, — lżej się jej zrobiło, gdy ujrzała przez uchylone drzwi brzydką, zmarszczkami pokrytą twarz Gilowej.

Równocześnie padła smuga światła od latarni, — Gilowa stanęła przy tapczanie, na którym Anielcia leżała.

„Cóż, poszło wszystko dobrze?" zapytała z cicha Gilowa. „Widzę, żeś panienko dobrze pracowała. A gdzież trup, — aha, widzę, tam w kącie. Dobrze, — bardzo dobrze! Trumnę mam z sobą, — leży za drzwiami. No! A teraz — dalej! Musisz się do niej położyć".

„Wszystko zrobię, czego odemnie chcecie, poczciwa Gilowo," rzekła Anielcia cichym głosem, „powiedzcie mi tylko, czy ja się w trumnie nie uduszę? — Tego jednego się boję."

„Głupstwo!" mruknęła stara, „także nie miałabym co lepszego robić i dać ci się udusić! Postarałam się już o to, że w trumnie są otwory na powietrze, — wieka zresztą wcale nie będę przyśrubowała tylko tak nakryję. Jużto moja sprawa we wszystkiem, — nie bój się i zaufaj starej Gilowej, — możesz być pewna, że jesteś w dobrych rękach!"

„Wiem o tem!" rzekła Anielcia, chwytając ręce Gilowej, „toby było okropne, gdybyście Gilowo moje bezradne położenie w jakikolwiek sposób dla siebie wyzyskała. Darujcie mi, że czasem nieufność do mego serca się zabłąkała, — ale już tyle od ludzi doznałam, tyle mię razy zwiedziono i oszukano, że nie dziw, jeżeli mi trudno przychodzi im ufać. Zresztą wy, Gilowo, — jakibyście mogli mieć plan ze mną? Ha! A zdradzić mię przed doktorem? — Ale nie, to nie możebne, — tego nie zrobicie, mówiłaście sama przecie, że go nie nawidzicie".

„No, i jeszcze jak!" zawołała Gilowa napychając sobie tabaką nos. „Ja mu już dawno zakarbowałam, — a że mi się dzisiaj taka śliczna sposobność nadarza, z tem większą przyjemnością figla mu wypłatam".

Rzekłszy to, zwróciła się ku drzwiom, otworzyła je, a następnie wyciągnęła czarną trumnę.

Chociaż przygotowana na to, — na widok jej Anielcia się wzdrygnęła.

Szybkim ruchem ręki zdjęła Gilowa wieko, pochyliła się nad tym domem wiecznego spoczynku, a wskazując ręką rzekła Anielci, która się na tapczanie podniosła:

„A więc? Czas już! — Nie tak to strasznie leżyć w trumnie, jak się wydaje, — to tylko zabobonny strach u ludzi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

HUMOR



Prawdziwa sumienność

— Powiedz mi Józiu — pyta nauczyciel — czego nie powinien robić podróżny siedzący w wagonie, gdy pociąg przechodzi przez tunel?

— Podróżny nie powinien wysuwać głowy przez okno — odpowiada z wielką pewnością siebie Józio.

— Bardzo dobrze, doskonale. Ale dlaczego nie powinien tego czynić?

— Aby, przypadkiem nie uszkodzić tunelu.

Przyjacielska rada

Rzecz dzieje się u lekarza.

— Co robić, panie doktorze? Przez całą noc znowu nie zmrużyłem oka.

— Wie pan co... Niech pan weźmie lekcje boksu, to przez całą noc nie będzie pan mógł otworzyć oka...

Różnica.

Mały Boluś coś przeskrobał, a ojciec wsypał mu za karę dwanaście trzcinek w najodpowiedniejsze ku temu miejsce. Boluś rozbeczał się a ojciec, po przejściu pierwszej złości, stara się go uspokoić.

— Wierz mi Boluś, że ja ciebie kocham..

— Aha — mówi Boluś, stękając...

— Wierz mi, że ile razy jesteś niegrzeczny, a ja cię bić muszę, boli mię to tak samo jak ciebie, a może i więcej.

— Tak — mówi Boluś z żalem — ale nie w tem samem miejscu.

Właśnie dlatego

Kolasiński postanowił uczyć się angielskiego. Wziął gazetę do ręki i szuka pod rubryką „Nauka i wychowanie". Wreszcie znalazł. Zanotował sobie adres i po kilku minutach puka do mieszkania nauczyciela.

Po wstępnych pertraktacjach pyta:

— Więc ile ma kosztować godzina?

— Dwa złote...

— To zadrogo... Za jednego złotego pan nie może?...

— Nie, proszę pana. Pan zrozumie, że ja jestem rodowitym anglikiem...

— No, właśnie. To przecież nauka pana nic nie kosztowała!

W zdenerwowaniu

Kiejstutowicz siedzi w restauracji. Zamówił sznycel wiedeński. Mija piętnaście minut, pół godziny, godzina, a kelnera nie widać.

Przechodzi właściciel restauracji. Kiejstutowicz zdenerwowany do najwyższego stopnia, przywołuje go do siebie:

— Panie restauratorze!

— Słucham pana...

— Czy ten kelner, który mnie obsługuje, zostawił liczną rodzinę?...

Nowoczesna arystokracja

— Garson, proszę wyszukać moje futro. Jest to niezwykle cenne i piękne okrycie. W lewej kieszeni znajdzie pan papierośnicę ze złota 19 karat., z szafirami, wprawianemi w platynę. To bardzo droga rzecz. — Jest w niej sześć najdroższych cygar. Proszę mi je przynieść.

Tak źle nie jest

Dwóch wojażerów spotyka się w pociągu.

— Nie cierpię mego zawodu... — skarży się jeden z nich.

— Dlaczego?...

— Bo każdy kupiec może nam nawymyślać, może obrazić w najgorszy sposób, a wojażer musi być uprzejmy i grzeczny....

— Nic podobnego!... — przerywa mu drugi. — Ja już jestem dwadzieścia lat wojażerem, sto razy wyrzucano mnie za drzwi, dwieście razy dostałem po pysku, ale nikt nie ośmielił się mnie obrazić!...

Różnica

— Jaka jest różnica między śniegiem a urzędnikiem?

— Taka, że urzędnik musi wstać rano, a śnieg może leżeć cały dzień!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł. 2,85. Pod opaską miesięcznie zł. 1,50, kwartalnie zł. 4,50 Zagranicą 1,50 zł miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8. Telefon 32.

Rękopisów nie zwraca się. P. K. O Nr. 207.393.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/8 str. 225,- zł i td. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50%, zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50%. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca ALFRED KSYCKI — Redaktor odpowiedzialny MARJA ZEMMLERÓWNA — Drukarnia L. KSYCKIEGO w Żninie.